Nr. 17. Lwów, Niedziela dnia 24. Grudnia 1876 r. Tom IV.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

XVII.

Baczność!

Olbrzymia potęga prasy jest rzeczą tak uznaną, że nie potrzeba na to żadnych dowodów. Prasa jest zawsze wyrazem życzeń i zapatrywań ogółu, a nie przesadzimy wypowiadając zdanie, że jest ona najskuteczniejszym środkiem bronienia interesu rządzonych w obec nie zawsze zgodnych z dobrem narodów zachcianek rządów. To też uznając tę potęgę, rządy same stają w szranki walk publicystycznych i zakładają w tym celu własne dzienniki, aby ile możności paraliżować wpływ dzienników niezawisłych, stojących stale i wiernie po stronie rządzonych. Wpływ dzienników rządowych jest jednak wszędzie bardzo nieznaczny i ogranicza się chyba na te jednostki, które z powodu swego stanowiska muszą uznawać za dobre to wszystko, co od rządu wyjdzie; natomiast ogół każdego narodu wie dobrze, jaki duch z czasopism rządowych wieje, i dla tego zupełnie ich nie czyta. Na całym świecie, nawet w krajach jak najsilniej przywiązanych do rządu, n. p. w Anglji, dzienniki urzędowe trzymają tylko urzędy i ludzie, których interesują urzędowe ogłoszenia; naród zaś nie uważa i nie może uważać ich za wyraz własnej opinji, rzeczą bowiem jasną, że dziennik utrzymywany przez rząd musi pisać tak jak chce władza, choćby to czasem było z największą szkodą narodu. Dziennikarz urzędowy jest zawisłym w całem tego słowa znaczeniu: wypiera się swej myśli, swej woli i musi naginać swe zapatrywania podług tego, jak chcą w górze, i pisać to tylko, co mu nakazują.

Jeżeli we wszystkich państwach, nie wyjmując nawet despotycznej Moskwy, ogół nie tylko ignoruje prasę rządową, lecz co więcej czuje do niej odrazę, o ileż silniej ta niechęć musi występować w państwie tak niejednolitem jak Austrja, składającem się z tylu narodowości, z których każda ma odrębne stosunki, pragnienia i cele. W Austrji każda prowincja posiada dziennik urzędowy, a ponieważ każda z nich jest w mniejszej lub większej opozycji do rządu centralnego, więc i prasę rządową odtrąca naród z niechęcią. U nas w Galicji jeszcze do niedawna rzecz miała się tak samo; urzędową *Gazetę Lwowską* czytali tylko urzędnicy i prawnicy; ogół zaś polski zaledwie wiedział, że pismo takie istnieje. Stan ten jednak zmienił się przed kilku laty, gdy redakcję *Gazety Lwowskiej* objął literat znanego imienia i niegdyś nie bez zasług w naszej literaturze. Nowy redaktor korzystając z rozdwojenia, jakie przed czterema laty panowało między tutejszem dziennikarstwem niezawisłem, postanowił urzędową gazetę zupełnie zmienić i powoli wyrobić sobie czytelników, a rządowi przysporzyć sług uległych, ślepo idących za każdym impulsem, z góry danym. Zabrał on się też do tego bardzo zręcznie. Wiedząc, że mimo oziębienia się patrjotyzmu, publiczność nasza jest polską, z lekka w kronice i fejletonie pociągnął swą *Gazetę* polskim pokostem...

Pokost ten jednak jest bardzo wątpliwej natury, jak to każdy przyzna, kto pilnie przeglądał historyczczne fejletony *Gazety Lwowskiej.* Wyrazy: „polski — Polska — nasz“ spotykają się tam bardzo często, ale też i na tem koniec; za to zręcznie potępia się najwznioślejsze nasze ruchy narodowe, jak np. Konfederację barską, rehabilituje się zaprzańców ojczyzny i w zręcznej formie ubóstwia się sprawców upadku Polski. Rzeczy te podane zręcznie, znajdują przyjęcie u łatwowiernych czytelników i wywierają wpływ najzgubniejszy. Najlepszym dowodem, ile warta pseudopatrjotyczna komedja *Gazety Lwowskiej*, jest fakt, że pismo to uzyskało debit do Królestwa Polskiego. Jednak publiczność polska Kongresówki poznała się natychmiast na źle skrojonym płaszczyku, i *Gazeta Lwowska* tam, gdzie każde pismo zagraniczne liczyć może na setki, jeśli nie na tysiące abonentów, uzyskała wszystkiego 17tu prenumeratorów! Widocznie publiczność polska w Królestwie posiadając wyborny zmysł spostrzegawczy, poznała, że *Gazeta Lwowska* jest niczem innem, jeno dość zręczną parafrazą *Dziennika Warszawskiego.* Publiczność nasza, zbyt mało posiada zmysłu spostrzegawczego, a co więcej, brak jej nawet wrodzonego instynktu politycznego, skutkiem czego idzie łatwo na lep pozorów. Pewne koła przynęcone fejletonami i anegdotyczną kroniką, zaczęły uważać *Gazetę Lwowską* za gazetę prawdziwie *polską* i patrjotyczną, a odurzenie doszło nawet do tego stopnia, że gdy kilka lat temu hr. St. Tarnowski wystąpił ze znanym artykułem „o porcjach,“ wielu ze szlachty naszej w urzędowej Gazecie protestowało przeciw szlachcicowi polskiemu. Smutny to, jedyny w swoim rodzaju fakt w naszej historji!

My, a z nami z pewnością wszyscy, którzy w sobie czują ducha polskiego, musimy wystąpić przeciw temu wydawnictwu, z powodów następujących: 1) *Gazeta Lwowska* jako urzędowa nie może być pismem narodowem, zawsze bowiem musi to tylko wpajać w swoich czytelników co rząd za odpowiednie uznaje. 2) Czytelnicy, którzy tylko jedną gazetę trzymają, mimo woli przesiąkają jej zapatrywaniami, skutkiem czego ostygają w patrjotyzmie i tracą z oka wielki cel, do którego dążymy. Dla tego uważamy rozszerzanie się tego czasopisma w formie dzisiejszej za szkodliwe dla narodu.

Lecz gdybyśmy nawet nie mieli na oku wyższego celu, to i wtedy jeszcze zapytalibyśmy, co właściwie przemawia za *Gazetą Lwowską?* Chyba to, że daje więcej bibuły jak inne dzienniki — a dla czego? Oto naprzód ma ona monopol na ogłoszenia sądowe, które rocznie przynoszą jej kilkadziesiąt tysięcy; powtóre nie troszczy się o deficyt, bo jeżeli się jaki pokaże, pokryje go kasa rządowa; nakoniec nie płaci stęplu, który w czasopiśmie liczącem np. tylko 2.000 abonentów, wynosi rocznie 6.000 guldenów. W takich warunkach łatwo prowadzić dziennik, to też dziwi nas bardzo, że przy takiem poparciu *Gazeta Lwowska* jest tak źle redagowaną!

To cośmy powiedzieli o niepatrjotycznym kierunku *Gazety Lwowskiej,* sądzimy, powinno wystarczyć, aby tym, którzy nie zdając sobie sprawy z tego, co czynią, otworzyć oczy i przekonać ich, że działają z niekorzyścią dla narodu. Mamy w Galicji cztery niezawisłe pisma: *Czas,*

Gazetę Narodową, Dziennik Polski i Kronikę Codzienną; prenumerujcie którykolwiek z tych dzienników, a jeżeli nie zgadzacie się z żadnym, załóżcie nowe pismo, lecz nie wspierajcie prasy urzędowej, która zabija w swoich czytelnikach ducha niezawisłego, i powoli nagina ogół ku celom przeważającego każdym razem systemu rządowego.

ŻELIGA.

Powieść

JÓZEFA IGNACEGO KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Część druga.

Są ludzie, których dola w szczególniejszy doświadcza sposób, i jak na miękkim piasku u brzegów morza fale nie biją, a o skały tłuką rozwścieczone bałwany, tak właśnie z ludźmi się dzieje i słabym życie uchodzi spokojniej. Silniejsi są do walk stworzeni, nie oszczędza im też bojów przeznaczenie.

Ledwie się wydobyli z jednego niebezpieczeństwa, już oto drugie nadchodzi; ledwie zapragnęli spoczynku, wnet potrzeba do nowych stawać zapasów, gdy zapragną śmierci, szyderski los uzbraja ich w nowe do życia siły.

Zdawało się panu kasztelanowi przebywszy lata długie w utrapieniu, osamotnieniu, pokucie, na wygnaniu, że nareszcie dościgniętego dziwnym trafem szczęścia i pokoju miał kosztować. Usunął się był prawie od dworu i wyższego świata, upatrując w nich dla siebie niebezpieczeństwo; po ożenieniu z panną Agnieszką zamieszkał na wsi, otoczył drużyną małą, a pilnie wybraną, i pragnął tylko aby w miękko usłanem gnieździe mógł bezpiecznie dożyć końca.

Ale czara nie była do dna wypitą. Szczęście miało chwilowem być tylko wytchnieniem.

Urządzało się wszystko na długie lata, obiecywało trwać jakby naumyślnie dlatego, by tem krwawszy zawód uczynić.

W pierwszym roku pożycia, pan Bóg pobłogosławił synem, w drugim córką. Ale wkrótce po przyjściu na świat, matka poczuła się słabą i mimo szczęścia, dostatku i pokoju domowego gasnąć poczęła, a niedługo cierpiąc rozstała się z tym światem uśmiechnięta do lepszego.

W niemej rozpaczy, ale z żelazną siłą, wytrwał ten ból, najcięższy ze wszystkich boleści ziemi rozstania się z najmilszą istotą, Bo choć silną jest wiara, choć ufa się Bogu i niebu, zawsze pożegnać towarzysza doli, widzieć go uciekającym w nieznane krainy, z których nikt z wieścią nie wraca, jest okropnem dla serca. Pustką staje się świat niezrozumiałą, dziką, z której by się także wynijść chciało, lecz wrota stoją zawarte, samotnie usiąść pod niemi trzeba i czekać i płakać.

Dwie kolebki, dwie główki dziecięce wzywały do życia, ale starszy synek przyszedł na świat słabiutki i wielką miłością matki utrzymywał się tylko przy życiu; córeczka zdawała się silniejszą, lecz zatęskniła za matką.

Postawiono naprzód trumienkę jej przy matczynej w kościelnych sklepach. Żeliga nie odstępował już syna. W rok dzieciak usnął na jego rękach snem wiecznym. Czarny smutek nim owładnął.

— Złem uczynił — powiedział sobie w duchu — żem się woli Bożej chciał opierać; otóż owoce, więcej boleści, i czarniejsze resztki żywota, i trzy trumny przy których wiecznie łzy płynąć będą.

Dowiedziawszy się o nieszczęściu przyjaciela i dobrodzieja, pan Marcin z Barcina pospieszył do niego po śmierci syna, choć mu podróżować nie było łatwo. Ale zastał go na poły tylko żywym, pogrążonym w żałobnej sukni, a tak straszliwie milczącym, iż się słowa z niego dopytać nie było można. Uścisnęli się, popłakali, usiedli, i rozmowa uboga nie dała się i kilka minut przeciągnąć, niestawało do niej wątku; trudno było wynaleźć taki przedmiot, któryby o drażliwą nie uderzył strunę.

Dnia następnego nie było lepiej, a i Barciński nie nawykły do takiej żałoby uczuł ucisk na sercu, ale myślał że to przejść powinno. Czwartego ani piątego jednak dnia, na Żelidze żadnej nie dostrzegł zmiany, a dopatrywał tylko coraz groźniejszych znaków jakiejś twardej, niepożytej niczem boleści, która się w sobie zamykała, aby jej ludzie tknąć nie śmieli.

Żal mu się zrobiło kasztelana, żeby mu tak marno ginąć nie dać; ale stolnik był człowiekiem niezwykłym, nie umiał po nowych drogach szukać na stare choroby lekarstwa, i nie umiał nic tak dalece wymyślić. Łamał głowę, trafiał zawsze na bardzo pospolite środki, szukanie dystrakcji, pracę, modlitwę itp.

Trapiło go to że w głąb duszy Żeligi zajrzeć nie mógł, nic o sobie mówić mu nie chciał, planów na przyszłość nie czynił, zdawał się wlec aby dalej, wyrzekłszy się wszystkiej woli względem samego siebie; tem bardziej więc przyjaciel powinien był o nim myśleć.

Rezydencją kasztelana był stary dwór pański, na nowo z przyczyny ożenienia restaurowany, i urządzony z wielkim przepychem; ale tu co krok przypominała się przeszłość boleśnie. Stolnik więc naprzód osądził, że go ztąd koniecznie wyciągnąć potrzeba, ale obawiał się razem by do owej pustelni, w której lat tyle przeżył uciec nie chciał, bo by się tam pewnie na resztę dni do końca życia zagrzebał. Nie łatwo więc było wspomnieć mu nawet o wyjeździe.

Było to w lecie. Przy starym dworze ogród był także dawny, w ulice starożytne sadzony, z pięknym na końcu widokiem na szeroki, wspaniale płynący Styr. Po za rzeką ogromne się ciągnęły bory. Część znaczną dnia spędzali z panem kasztelanem na przechadzce po tych ulicach, milczący oba; czasem przysiedli na ławie. Żeliga podparł się na dłoni i dumał, ale na dłuższą rozprawę wywabić go nie było podobna, a gdy się Barciński rozgadał, uważał, że choć go słuchał, nie wiedział o czem była mowa, i zdradzał się pytaniem nieforemnem. Myśl jego była gdzieindziej.

Znaczną część dnia spędzał Żeliga na modlitwie przy klęczniku u siebie lub w kaplicy dworskiej; co drugi i trzeci dzień jeździł na cmentarz. Barciński wychudł i posmutniał także, nie mogąc w tym smutku wytrwać dłużej; ale z temperamentu i obyczaju uważał sobie za obowiązek starać się o przywrócenie do trybu zwykłego życia.

Szczęściem nadjechał staruszek O. Ignacy; nim się jeszcze z kasztelanem zobaczył, stolnik go porwał do ogrodu, opisując mu stan duszy i umysłu kasztelana, i prosząc usilnie o radę. Nie taił się i z tego, że się obawia aby do pustelni wrócić nie chciał. O. Ignacy wysłuchał skarg cierpliwie, ale ani się zdziwił, ani zniepokoił.

— Mój stolniku — rzekł — inaczej być nie mogło, każde mizerne szczęście ziemi, człowiek odchorować musi i odboleć, nie jest ono tu przeznaczeniem naszem. Godzę się z waszmością, że ludzie światowi obowiązki względem świata mają, chociaż po bożych... jednakże gdyby się życie kasztelanowi sprzykrzyło wielce, a chciał zakonnego pokoju skosztować... możnaż mu tego bronić?

Właśnie tego najwięcej lękał się pan stolnik i temu zapobiedz usiłował: jął więc dowodzić jak jeszcze Żeliga światu i Bogu na świecie mógł być wielce użytecznym.

Wszystkich tych argumentów wysłuchał ksiądz tak, jak by je znał oddawna; westchnął, uśmiechnął się i nic już nie odpowiedział tylko:

— Uczyni się stolniku kochany, co sumienie każe, co Bóg dozwoli i natura ludzka dopuści.

Niespokojny jeszcze Barciński napisał do siostrzeńca i do Justysi aby z nim razem przyjechała do Kniażej. Tak się zwała rezydencja pana kasztelana.

Ale oni z listem się rozminąwszy nadjechali, bo już i bez niego postanowili wuja odwidzieć. Radość Barcińskiego była wielką, a nawet kasztelan się na chwilę ożywił, ale wprędce zebrało mu się na łzy i wyszedł, a gdy wrócił po nich, był tak ciężko strapiony jak przedtem. Szczebiotanie Justysi, jej uśmiech, nieco mu jednak zdawały się słodzić boleść, mówił z nią więcej, przymuszał się nieco dla niej, i przyjazd ten zdawał się bardzo dlań pożądanym.

Staremu uśmiechało się w Justysi wspomnienie szczęścia i to życie rodzinne, do którego człowiek jest stworzonym, a gdy mu go niedostaje, niezapełnioną w sobie czuje próżnię.

— Już go ztąd nieodmiennie wyrwać muszę — rzekł stolnik — bądź co bądź, jak się tu zasiedzi ztetrycznieje w niwec. A nigdzie mu nie jechać tylko do mnie, do Barcina.

— Ale w Barcinie to mu się biedna kasztelanowa przypomni jeszcze bardziej — rzekła Justysia.

— Jest to prawda — odparł stolnik — wszelako nie tak bolesna tam pamięć jak tu, gdzie z nią żył i gdzie go nieboszczka osierociła.

Postanowiwszy wyciągnąć kasztelana, jak mówił Barciński, czemu się O. Ignacy już nie sprzeciwiał, zaraz po objedzie począł o tem rozmowę.

— Mój poczciwy stolniku — odrzekł na pierwsze słowo kasztelan bez niecierpliwości i zdziwienia — co mi to pomoże gdzie ja będę? Noszę smutek w sobie i poniosę

go z sobą choćbym za kraj świata powędrował. Tego co w człowieku jest, pozbyć mu się nie łatwo. Co to tam zresztą znaczy czy mi trochę gorzej czy lepiej... życie tak czy inaczej skończyć się musi, nie jest długie, znieść je potrzeba.

— Więc jeśli tak, to się też dla nas kasztelan namówić dozwolisz i pojedziesz z nami?

— Zechcesz, to pojadę wreszcie — odpowiedział Żeliga — ale wy ze mnie ciężar mieć będziecie, nie pociechę, a mój smutek z was resztę waszego poczciwego wesela wyssie.

Zdobywszy przyzwolenie, ucieszony stolnik, ucałował kasztelana, ruszył z dobrą nowiną do córki i odżył. Szło o to, aby zamiar jak najprędzej przyprowadzić do skutku. Kasztelan się nie opierał, dozwolił dzień wyjazdu naznaczyć, dał się rozporządzac siostrzeńcowi, sam do niczego się nie mięszając, dłużej tylko na cmentarzu przesiadywał dni ostatnich.

O. Ignacy wcale nie był wyjazdowi przeciwnym; cicha to była radość, ale wielka w tem kółku przyjaciół, którzy się wiele spodziewali po zmianie miejsca, towarzystwa i wyrwania się z koła żałobnych pamiątek.

Zdziwił się mocno stolnik, gdy rano przed odjazdem, kasztelan wyszedł do nich, wprawdzie w żałobie ale tym krojem zrobionej i tak niepoczesnej jak chodził w Barcinie, gdy byl owym milczącym i pokornym Żeligą.

— Proszęż was — rzekł do Barcińskiego — mój panie Marcinie, nie nazywajcie mnie inaczej jak Żeligą, nie miejcie za kogo innego, zapomnijcie o tym nieszczęśliwym kasztelanie. Mnie z tem może lżej będzie. Lekką mi była u was pokuta, dobrowolnie ją znowu biorę na ramiona.

Dano znać przodem pani Barcińskiej, że kasztelan przyjeżdża, ale przestrzeżono zarazem, żeby mu innego mieszkania nie przygotowywano, tylko to, które miał w oficynie i żeby żadnego dlań nie czyniono występu na przyjęcie bo tego wyraźnie żądał.

Droga przeszła w milczeniu, uważano wszakże, iż Żeliga był mniej w sobie pogrążony, częściej przemowił, uważniej się przysłuchiwał; Barciński nabrał wiele otuchy.

Siostrzeniec kasztelana był zmuszony udać się do stolicy w pół więc drogi ich pożegnał, a Barciński z Justysią przeprowadzili go sami.

Wieczorem jakoś przypadł przyjazd, w ganku przyjęła ich zapłakana pani Marcinowa, powitanie było milczące, do wieczerzy nie siadł nawet kasztelan, wyszedł do ogrodu i pod znajomemi drzewy do północy przesiedział.

Następnych dni mało się co zmieniło. Justysia była mimowolnie wesołą, latała po wszystkich kątach, witała znajomych, opatrywała czy jej co nie zginęło, dziwiło ją dziecinnie i cieszyło po dziecinnemu co jej się zastarzałem, innem wydało teraz, niż dawniej. I matka odżyła przy niej, a potroszę ojciec, który tylko pilnie i troskliwie miał oko na Żeligę.

Od pierwszego wieczora Żeliga przeniósł swój tłumoczek do pokoju w oficynie, nie można było nawet prosić żeby mieszkanie zmienił.

Z soboty na niedzielę późno już, bo około północy, Barciński się był spać układł i drzemał, gdy posłyszał pukanie do drzwi. A że się mu na sen zbierało i w pierwospy go to zbudziło, począł gderać z pod kołdry sądząc, że kto z domowych niepotrzebnie mu przeszkadza do snu. W tem wszedł Żeliga wiedząc że Barciński był sam.

— Daruj mi, kochany przyjacielu — rzekł — alem cię musiał przyjść i zbudzić. Stało się ze mną coś tak dziwnego, zaprawdę, że aby oprzytomnieć i pochwycić zerwaną nitkę życia, musiałem szukać żywego i przytomnego człowieka, któryby mi ją nawiązać dopomógł.

— Cóż to jest? — spytał chwytając się z łoża Barciński.

— Weź mnie za rękę, pomacaj pulsu, — zawołał Żeliga — przyłóż dłoń do czoła; powiedz mi szczerze, czy nie mam ja gorączki?

Barciński zdumiony uczynił co mu kazano.

— Przyjacielu, kasztelanie, — rzekł po chwili — cóż to tam jest takiego, ja cię widzę w zwykłym stanie.

— A ja się czuję przytomnym także, odpowiedział Żeliga, a przecież nie mogę uwierzyć, by na jawie mnie to spotkać mogło, co mnie przed chwilą spotkało.

— Ale cóż? co? na miłość Bożą? — zawołał stolnik zrywając się z łóżka.

— Gdy ci powiem, pomyślisz żem oszalał — smutnie dodał kasztelan.

Barciński się uląkł trochę.

— Czekajcie no, przerwał, wezmę co na siebie, wyjdziemy na ganek lub pod lipę, nuż tu kto nas podsłucha; jeśli to coś takiego dziwnego niech między nami zostanie.

Jak rzekł tak i zrobił natychmiast stolnik i przyodziawszy się pociągnął z sobą Żeligę pod lipę. Milczący siedli tu na ławie.

Kasztelan mu rękę położył na ramieniu.

— Wiem to — odezwał się powoli, — że Bóg cuda czyni i że to co powszednie życie stanowi, nie zamyka wszystkiego żywota w sobie... Jednak nie pojmuję dlaczegóż bym ja miał cudu doświadczyć.

— Ale już mów kasztelanie co się stało, bo i mnie ze strachu w głowie się mięsza, rzekł Barciński.

— Nie ma temu i godziny — mówił zniżając głos Żeliga — moim obyczajem wyszedłem do ogrodu, w tę ulicę, po której nie jeden raz przechadzaliśmy się mile gwarząc z moją zacną świętą Agnusią. Jeszcze mi jej romowy w uszach tętniły a łza z oczów ciekła na te przypomnienie chwil, które nigdy nie powrócą nigdzie; boć i w niebiosach jeśli się duszy spotkają, to już inaczej. Szedłem tak zadumany i rozrzewniony gdy w drugim końcu ulicy postrzegłem postać niewieścią. Stała w blasku księżyca, nieruchoma; wydało mi się marą i przywidzeniem, żem w niej zdawał się poznawać moją Agnusię. Zrazu nogi podemną zdrętwiały, zrobiłem znak krzyża na piersiach, począłem iść powoli, jak gdyby mnie tam ku temu cieniowi jaka siła ciągnęła niepohamowana. Włosy mi powstały na głowie, zimny dreszcz przebiegał po mnie, drżałem a szedłem, pchało mnie.

— I cóż znowu! to któraś z kobiet być musiała — zawołał Barciński.

— Słuchaj mnie waćpan do końca — ozwał się Żeliga. Mogę ci przysiądz na wszystko najświętsze że nie kłamię i nie dodaję nic. Im bardziej zbliżałem się, tem widoczniej ukazywała mi się postać nieboszczki. Nie znikała, nie poruszała się, nie bladła. Byłem już o trzy kroki, i w świetle księżycowem widziałem jej twarz smutną ale do mnie uśmiechniętą. Tu mi siły zabrakło, upadłem na kolana. Cień ów ruszył się, jakby wiatr powiał nim i poczułem podaną mi dłoń zimną, tak jak oto czuję że was dotykam.

Barciński się przeżegnał ze strachu.

— Gdybyś to nie waszmość panie kasztelanie mi mówił, istotnie nie wierzyłbym.

— Nie gniewałbym się na was, gdybyście i mnie uwierzyć nie chcieli — dodał Żeliga — ja sam zaledwie swej pamięci wierzę. Za dotknięciem jej dłoni wstałem lecz chwiejąc się patrzałem na nią tylko, ona też na mnie, nareszcie ozwała się:

— Dlaczegoś mnie z grobu żalem swoim wywołał? Nie płacz po mnie, z dwojgiem aniołów moich i twoich, mieszkam tam gdzie wiekuisty pokój panuje

Barciński ze złożenemi rękami słuchał przelękły i drżący.

— Dla czego wy ludzie małej, słabej wiary — mówiła po cichu ale własnem głosem, płaczecie po umarłych i tęsknicie za tymi, którym jest lepiej? Tam do nas aż dochodzą te jęki i żale, i bole. Nam milej, gdy nie zapominając o nas, nie wstrzymujecie się dla nas na drodze. Między światem żywych i światem umarłych a żyjących jest przepaść nieprzebyta; co wasze życie przy żywocie naszym? Tyś duchem czysty mężu mój ziemski i przyjacielu jedyny ja ciebie kocham, ale nie tą miłością ziemską, wyłączną; ja ciebie kocham, bo kocham wszystko, bo żyję miłością, w miłości, bo miłość jest naszem życiem, bytem, istnieniem, wszyscy są jednem i w jednem...

(C. d. n.)

O pracy umysłowej.

przez

Dr. Juljana Ochorowicza.

(Ciąg dalszy).

Przechodzimy do pracy twórczej.

Na czem polega praca poety tworzącego powieść, poemat lub dramat? Wyrazy, których używa, nie są dziełem jego twórczości — wyobrażenia do nich przywiązane, również są znane powszechnie — obrazy i sceny, które odtwarza, są albo wprost wzięte z życia, tak, że podobne im widywaliśmy na własne oczy, — albo też czerpane ze świata wiary, legend.... lub historji, również wspólnych danemu społeczeństwu lub danej jego cząstce, wśród której autor się wychował.

Cóż więc nowego przynosi nam poeta? Dlaczego pracę jego nazywamy twórczą? W każdym utworze prawdziwie poetycznym, jest pewna doskonałość i podniosłość, barwistość i symetrja, których nie napotykamy w życiu.

To, co w życiu znajdujemy rozsypane — tu skupia się w jedno świetlne ognisko, to, co w życiu było drobnem — tu olbrzymieje; co było w cieniu, podnosi się do światła; co było powszedniem, staje się świątecznem. Zdarzenia zmieniają się w sceny — jednostki w typy — a słowa w idee.

W doborze i układzie wyrazów widzimy pewną oryginalną prawidłowość, pewną harmonję rymu i rytmu; pewną kunsztowność w następstwie myśli i sytuacyj, uczuć i wypadków, która żywością akcji i plastycznością obrazów — wzbudza odpowiednie władze ducha, a tem samem rodzi w nas przyjemność.

Wszystko doświadczone kiedykolwiek, przeżyte i przemarzone w duszy artysty, zcina się i krystalizuje w jeden posągowy utwor sztuki.

Najdrobniejsze wrażenia składają się niepostrzeżenie na ową mozajkę duchową.

Z drobnych niepozornych okruchów doświadczenia, z resztek zasłyszanych zdarzeń i myśli, jednym twórczym prądem uniesionych, fantazja artysty-wynalazcy buduje wspaniałe gmachy poezji, rozpala płomień nowych idei, wytwarza owoc nowych wynalazków. W dziele sztuki wszystko może być wzięte z natury, oprócz samego sposobu wzięcia. Samodzielność zatem w pracy twórczej, polega nie na tworzeniu materjału, — lecz na umiejętności w wyborze, w obrobieniu go i zorganizowaniu w jednę harmonijną całość.

Poeta z kamyków buduje nam świątynię — z atomów żywy organizm! Słusznie więc pracę jego nazywamy twórczą.

Panuje wprawdzie przekonanie, że utwory poezji nie są dziełem pracy, lecz natchnienia; ale niestety! ażeby miewać dobre natchnienia, potrzeba pierwej dobrze pracować. — Natchnienie jest tylko echem poprzedniej pracy, rozbudzonem chwilowemi pobudkami. — Trzeba wiele obserwować, wiele doświadczyć, wiele przeczytać, ażeby to echo nie było czczym dźwiękiem, lub nie wyczerpało się zbyt prędko. Nawet utwory, będące owocem chwilowego podniecenia fantazji, chwilowego natchnienia, bardzo często, i to przy najpotężniejszych zdolnościach twórczego umysłu, wymagają jeszcze stanowczego ich opracowania. Im większy genjusz artysty, im podnioślejszy ideał jego ducha, — tem trudniej mu zadowolić się tą formą, w jaką go przelać usiłuje. Wiemy, z jaką starannością Goethe wykończał swoje poezje, a Leonardo da Vinci — swe obrazy. Horacy radził przez 7 lat oglądać wiersz napisany. Platon, boski Platon, dwadzieścia razy rozpoczynał djalog „o Rzeczypospolitej“, nim znalazł taki wstęp, jaki odpowiadał głębokiej jego intuicji o idei wcielonej prawa politycznego i urządzeń społecznych*). Najzręczniejsze zwroty w wykwitnym i potoczystym stylu Jana Jakóba Rousseau, według własnego jego zeznania, były po kilkanaście razy przerabiane i poprawiane. W rękopismach Juljusza Słowackiego, któremu niepodobna nie przyznać szalonej zdolności wierszowania, znajdujemy całe ustępy, całe stronice, po kilka razy przekreślane i zmieniane. Pierwsze dramata Corneilla i Racina, podobnie jak pierwsze opery Mozarta i Haendla,— były wygwizdane. Beethovena pierwsze symfonje nie kwalifikowały się do grania. Goethe uważał młodego Schillera nietylko za człowieka pozbawionego poezji, ale i zdrowego rozsądku, — a Eugenjusz Sue, Balzak, Lytton Bulwer, Kraszewski i w. i. pierwszorzędnych pisarzy, rozpoczynało swój zawód od niedołężnych produkcyj. Meyerbeer, któremu w r. 1820 Bayle przyznawał tylko tyle, że pracuje po 15cie godzin dziennie, i ma cokolwiek talentu, — był jednak później twórcą Hugonotów, Proroka i Roberta Djabła!..

Możemy więc powiedzieć, że praca twórcza jest — rzeczywistą pracą.

Wytężona praca twórcza, pogrąża myśl artysty w głębi własnego jego ducha — rodzi w nim odrębny świat marzeń i poezji, dla którego zapomina o świecie otaczającym. Ztąd też hallucynacje i wszelkiego rodzaju fantazyjne złudzenia zmysłowe, są objawem bardzo pospolitym u genjalnych poetów i artystów. Jeden z najzdolniejszych powieściopisarzy, Flaubert, w liście do Henryka Taina pisze, że wybitniejsze postacie jego romansów, ścigają go i prześladują, rodząc formalne złudzenia. „Opisując otrucie Emmy Bovary, mówi on, czułem najdokładniej smak arszeniku w ustach, i rzecz dziwna, doznałem jego skutków w sposób tak dotkliwy, że nie mogłem się powstrzymać od użycia środków lekarskich“. Goethe miewał sławne swoje widzenia kwiatów fantastycznych, które w rodzaju fontanny wyskakiwały jedne z drugich. Walter Skott miał widzenie zmarłego swego przyjaciela Byrona, który mu się ukazał w fałdach firanki. Jean Paul Rychter mniemał częstokroć, że widzi twarz dziewczynki wyglądającej przez okno. Z naszych poetów Dominik Magnuszewski przedstawiał w wysokim stopniu tę chorobliwą skłonność do hallucynacyj. W większym lub mniejszym stopniu miewają je wszyscy poeci, zwłaszcza w chwilach wytężonej pracy twórczej, która ideał myśli, z całą żywością kolorytu, stawia przed okiem wewnętrznego zmysłu. Wtedy mistrz wpatruje się tylko w ten obraz duchowy, i... czy to będzie Ofelja, czy Lilla Weneda, Franciszek Moor, czy Faust lub Werther, — potęga intuicji obraz ten zaklina w martwe szeregi liter, ażeby znów, pod tchnieniem wyobraźni czytelnika, zmartwychwstał w całej swej pierwotnej prawdzie i sile.

Praca poety dramatycznego, wymaga współudziału wszystkich władz umysłowych, a za punkt oparcia musi mieć koniecznie doświadczenie życiowe. Dlatego też talent dramatyczny rozwija się później od innych — i rzecz godna uwagi — talent tragiczny, pierwej, aniżeli talent komiczny. Pierwszy bowiem mniej czerpie z życia i więcej mu wolno polegać na samej fantazji, która z ludzi tworzy posągi; — chcąc zaś z ludzi robić karykatury, chcąc być humorystą, potrzeba koniecznie zagłębić badawcze oko w realizm powszedniego życia, i na nim się oprzeć. O ile dramat potrzebuje namiętności, o tyle komedja spokoju. Tragedja nie zna drobiazgów i małostek codziennej pracy — komedja bez nich nie byłaby komedją. Już to samo wskazuje na większy udział obserwacji i rozwagi w komedji. Mamy przykłady, że znakomita tragedja napisaną była w 20tym roku życia, jak to miało miejsce np. ze „Zbójcami“ Schillera, ale nigdy wyższa komedja, lub głęboka psychologiczna powieść, nie jest produktem młodzieńczej siły, nie posiadającej jeszcze ani dosyć doświadczenia, ani zimnej rozwagi i krytyki, ani wprawy w wiernem kopjowaniu typów i ideałów. Najlepsze komedje Moliera, jak: le Tartufe, le Misantrope, l'Avare, les Bourgeos gentillhome, les Femmes savantes, utworzone były po 40-m roku życia. Dzieła oparte przeważnie na fantazji, czy to poetyckiej, czy wynalazczej, czy matematycznej, — powstają już w 18-m lub 20-m roku życia. Pomiędzy 30 — 40 dochodzą swego maximum — poczem fantazja twórców bardzo szybko słabnie, a częstokroć i życie wraz z talentem wyczerpuje się. Przykładem mogą być Raphael, Mozart, Weber, Byron, Pascal i w. i. Najdłużej z nich żył Pascal, a jednak umarł w 39-m roku życia.

W rozwoju każdego wielkiego umysłu, pierwszy stopień stanowią prace, będące dziełem fantazji.

Mozart, w 18-m roku napisał już sonat — Haydn, w 13-m roku skomponował mszę. Piękna symfonja Rossiniego „Il pianto d'Armonia“, była dziełem 16-letniego talentu.

Fantazja matematyczna również wcześnie się rozwija. Pascal, sławną swą rozprawę „O sekcjach konicznych“ napisał, mając lat 16. Lagrange, najoryginalniejsze swe dzieło: „Rachunek warjacyj“, napisał w 18 roku życia.

Najsilniejsze umysły zaczynają zwykle od poezji.

Daundolle był poetą, zanim został botanikiem.

Ampère pisał wiersze, zanim został surowym badaczem, fizykiem i filozofem.

J. I. Rousseau rozpoczął karjerę od poezji i fantazyjnych kombinacyj matematycznych.

Przeciwnie, prawie nie mamy przykładu, ażeby badacze ściśli przerzucali się w późniejszym wieku na pole poezji i abstrakcyjnych pomysłów.

Jeśli weźmiemy pod uwagę talent dramatyczny w ogóle, to statystyka nas uczy, że rozwija się on dopiero po 21 roku życia, występuje wybitniej pomiędzy 25 — 30, rośnie jeszcze do 50, utrzymując się do 55-u w tem samem natężeniu — potem zaś, stanowczo i szybko chyli się do upadku, nietylko ze względu na ilość produkcyj, ale więcej jeszcze ze względu na ich wartość artystyczną. Według badań Queteleta, najznakomitsze prace dramaturgji francuskiej, dokonane były po 30-m a przed 50-m rokiem życia ich autorów. Żadne z nich nie powstało przed 21 rokiem, ani też po 55 roku życia. Biorąc jeszcze szerszy zakres umysłowej pracy społeczeństw, dochodzimy do przekonania, że przeciętniowo 25 rok życia jest epoką, w której rozwój inteligencji dosięga swego zenitu. Jestto właśnie chwila, w której cielesny rozwój organizmu już się skończył.

Naukowa praca myśli, mniej opierająca się na fantazji a więcej na chłodnej obserwacji i ścisłej krytyce, właściwą jest epoce dojrzałości męskiego ducha. Ani zapał młodzieńca, ani powaga starca, nie zastąpią tej trzeźwości umysłu, jaką daje wiek średni, mający za sobą tradycję doświadczenia, pewność rutyny i spokój duchowy. Wiadomo też, że z wiekiem zdolność do pracy umysłowej zmniejsza się, przytomność umysłu słabnie, i zmęczenie łatwiej bierze górę.

Ze względu na płeć, nierówność podziału pracy jest jeszcze więcej rażącą. Nie mamy danych statystycznych, z których byśmy mogli wyprowadzić wnioski o liczebnym stosunku mężczyzn i kobiet pracujących umysłowo. Nie ulega jednak wątpliwości, że stanowcza przewaga wypadłaby po stronie mężczyzn. Czy ma to dowodzić, że mózg kobiety już z natury swej nie jest zdolnym do systematycznej pracy umysłowej? Na pytanie to odpowiemy po rozbiorze fizjologicznej zależności pracy myśli od pracy ciała, na którą też obecnie zwrócimy naszę uwagę. (C d. n.)

*) Porównaj „Libelta Estetykę“ T. I. str. 385 Wydanie 2gie.

Z podróży po wyspach Oceanji.

Listy

Jana Kubarego.

(*Dokończenie.*)

Dnia 10 Kwietnia 1875 r.

Dzisiaj jesteśmy już daleko od Sydney. Nietylko Cap Horne, ale i wyspy Falklandzkie za nami. Najniebezpieczniejsza część podróży za nami, zimno zaczyna się zmniejszać, wchodzimy już na 44° szerokości południowej i termometr wskazuje 45° Fahrenheita.

W ogóle licząc, owa przebyta część drogi wydała mi się zabawką i tylko zimno dało mi się strasznie we znaki. Najniższa temperatura była tylko 45° Fahren. a jednak zdawało mi się to okropnem.

Pomimo, że na tę powrotną wyprawę wydałem około 300 rubli i szczególniej patrzałem na tęgi zimowy ubiór, marzłem niemiłosiernie i odmroziłem nogi. Zaziębiony jestem już od 3 miesięcy i kaszlę. Ach moje rajskie wyspy!

Miałem zamiar pracować i pisać w drodze, miałbym bardzo wiele materjałów, ale jest mi tu za niewygodnie na okręcie i nadto — znalazłem inne zajęcie. Jest między pasażerami, jedna młoda Angielka, dla rozrywki więc zaczęliśmy morski romans, który naturalnie przerwie się, gdy na ląd wstąpimy.

Mnie się zdaje, że Mickiewicz mówi prawdę, że: „nad wszystkich ziem branki, milsze Laszki kochanki.“ W Angielce jest więcej rozumu niż uczucia. Pomimo tego spędziłem nie jedną miłą chwilę w jej towarzystwie, chociaż do ciemnych, romantycznych gajów mych ukochanych wysp, powinnaby mieć czułe, gorące serce; do wzburzonego, o drzwi mej chaty bijącego Oceanu, musiałaby mieć odważny umysł. Miłość, uczuciowość, odwagę i energję, to wszystko razem posiada tylko Polka.

Dnia 19 marca widzieliśmy najpołudniowsze skrajki Ameryki, Terra del Fuego i okrążyliśmy ją mając po naszej prawicy wyspę Diego Ramirez. Była to wielka uroczystość i wypiłem na waszą cześć, z radości, żeśmy przebyli pierwszy róg, sześć butelek porteru. Obecnie jesteśmy na ulicy, na której stoją nasze domostwa; Atlantyk! Jeszcze 6 tygodni i telegraf zastąpi me pióro, ciskając wam moje serdeczne „dzień dobry!“

Dnia 20go marca, umarł jeden z naszych współtowarzyszy i pochowaliśmy go w mokrym grobie Oceanu. Pięćdziesiąt funtów łańcucha do nóg, koszula z żaglu, krótkie nabożeństwo i skończyło się. Był to suchotnik i przyszedł na okręt już prawie konający. Jak sam mówił, nie miał on ojczyzny i rodzinnej ziemi, zrodzony na okręcie na morzu, na niem też chciał dokonać tego żywota, kochał tylko morze i okręt jako swoją kolebkę i w tym grobie chciał spocząć. Rzeczywiście, grób w niezmierzonej toni Oceanu, ma za sobą bardzo wiele. Pędzone własnym ciężarem ciało, tonie do głębokości, w której woda zrównoważa swą gęstością ciężar przybysza i porywa go w objęcia ukrytych strumieni. Pod wodą krąży i krąży w około bieguna i południowy krzyż świeci nad jego grobem, grobem bez granic. Wielu bardzo podobnych szczęśliwców cieszy się tak wielką swobodą i wolnością w swym grobie.

Pisząc wam o mojej podróży, winienem się sam siebie zapytać, poco wracam do krajów, których obyczaje wydadzą mi się obce i niemiłe, do krajów, w których życie byłoby tylko dla mnie więzieniem. Po co wracam ja do ziemi, o opuszczeniu której marzę już przed mojem do niej przybyciem? Jedyna moja pociecha, jedyna ma nadzieja, że ucieszę się z kilkoma mi wiernemi sercami, do których liczę i wasze. Co dalej będzie, czy będę miał siłę was znowu opuścić, nie wiem; ufam jednak, że złośliwość europejska doda mi odwagi i uczyni mój zamysł lekkim.

* * *

Dnia 27 Kwietnia 1875 r.

Szerokość 8° 2 Północ. Długość 41° 50 Zachod.

Ostatnia granica Południka za nami, weszliśmy w północną szerokość, północny passat pędzi nas 12 węzłów na godzinę; tylko ułamek rozdzielającego nas przedtem Oceanu, zaledwie marne 4.000 mil nas jeszcze rozdziela! Jeszcze tylko 3 tygodnie lub najwięcej 4 i poczuję ląd pod memi stopami. Zdaje mi się, że już widzę brzegi Anglji, ujście Elby, Hamburg i wieże warszawskich świątyń.

Prawie miesiąc upłynął od mego ostatniego pisania, miesiąc, dla mnie zaledwie minuta. Podróż nasza przez ten czas była monotonnie szczęśliwa i nic nie miałbym do zanotowania, gdyby znów jeden z naszych współpasażerów nie wpadł na myśl przeniesienia się do wieczności. Nasza „Paramatha“ (nazwa okrętu) zdaje się być przetakiem, chcącym przenieść do Europy tylko zdrowych i do znoszenia udręczeń cywilizowanego życia zdolnych ludzi.

Pierwszy był suchotnikiem, coby on robił w Anglji? Obecnie nas opuszczający, był sparaliżowanym manjakiem, a wiecie co go sparaliżowało? Dziwna rzecz, ale prawda, oto — złoto! Był on inżynierem w kopalniach złota, właścicielem młynów do kruszenia złotych ryfów. Spekulował przytem i spędził całe życie w ciągłem nerwowem naprężeniu, w żądzy stania się bogaczem. Nareszcie stał się nim w starości, ale bez pożytku. Owe upragnione złoto, ugrzęzło mu nietylko w kieszeni, ale i w mózgu.

* * *

Dnia 18 Maja 1875 r.

Dnia 6go maja spodziewałem się stanąć w Londynie, tymczasem silny, północno-wschodni wiatr trzyma nas przy Azorskich wyspach i od czterech dni ani rusz! Zaledwie 1.000 mil i tracimy tyle czasu! Prowiant obliczony na 90 dni najwyżej, zaczyna się wyczerpywać i racje zaczynają być wydzielane pasażerom. Prawdopodobnie będziemy musieli zawinąć do pierwszego lepszego portu, albo może wrócić do Fayol na Azorach dokupić prowizji, gdyż grozi nam głód.

Tego rodzaju humbug zaczyna nas wszystkich strasznie nużyć i czas by zaszła zmiana.

W trzy dni moglibyśmy dosięgnąć brzegów Hiszpanji, z cztery Francji, w pięć Anglji. Po przebyciu południka, temperatura zaczęła się znowu zniżać i dziś na 41° szerok. północ. jest tak zimno, że zaczynam myśleć o ciepłem ubraniu i o piecu. Oto miły w Europie miesiąc Maj! Wiosna, skowronki i fijołki... Brr...! Nie tak na moich wyspach!

Nareszcie ołowiane obłoki dymu, las masztów i wróbel zbłąkany, pragnący odpoczynku na krawędzi nawy naszej, witają Oceanczyka — Ziemia — Anglja — Londyn!

Franciszek Karpiński i jego poezja.

napisał

Józef Tretiak.

(*Ciąg dalszy*).

Książę najgrzeczniej powitał Karpińskiego, ale że był szczególnym wielbicielem płci pięknej, a w gronie gości sproszonych na ten dzień do Witosławskiego, była pewna piękna pani, więc zajęty jej wdziękami mało rozmawiał z poetą. Za to zaprosił go do Brzeżan, majątku ojca swego, gdzie miał kilka dni zabawić. Tutaj scena z chłopami, którzy z powodu ucisku uciekli z dóbr księcia wojewody i schwytani przez policję austrjacką, przyprowadzeni zostali do księcia generała, a których ten książę nie tylko nie ukarał, ale jeszcze obdarzył, wzruszyła Karpińskiego, czułego zawsze na niedolę ludu, i zjednała go całkowicie dla księcia. Książę zaś dał dowód, jak ceni zdanie Karpińskiego, gdy wziąwszy go z sobą do swego gabinetu, odczytał mu świeżo napisany traktat o edukacji płci żeńskiej. Nasz poeta wysłuchał, oddał należne pochwały pismu, ale też i z właściwą sobie otwartością zganił to, co mu się niezręcznem wydawało. Książę nieprzyzwyczajony do krytyki nieowiniętej w pochlebstwo, zimno przyjął uwagę; wszelako przez cały czas pobytu Karpińskiego w Brzeżanach nie przestawał go otaczać wielkiemi względami, a odjeżdżając wymógł na nim przyrzeczenie, że przyjedzie do Warszawy.

Karpiński wrócił do swego domku w Dobrowodach z głową pełną rojeń o świetnej przyszłości. Sąsiedzi winszowali mu łaski księcia i wróżyli poecie najlepszą przyszłość. Tylko jeden z nich inaczej patrzał na to wszystko, i łaskę pańską przyrównywał do pogody marcowej; był to znany nam już stolnik Piasecki. Wybierał się on wówczas w Mozyrskie, gdzie miał cząstkę dziedziczną, i radził Karpińskiemu, żeby zamiast do Warszawy, raczej z nim jechał w leśne strony, gdzie ludzie z pewnością lepsi niż w stolicy. Oczarowany widokami przyszłości, słuchał tego nasz poeta, jak żartu, choć później nieraz przypominały mu się słowa Piaseckiego. Wybierał się więc powoli do Warszawy, gdy otrzymał od księcia list, w którym mu książę ofiarowywał miejsce sekretarza dla spraw politycznych przy sobie. Chcąc więc oprędzej pospieszyć do stolicy, miał zamiar natychmiast pozbyć się dzierżawy, ale mu Piasecki poradził, aby się dzierżawy nie pozbywał, a oddał ją siostrzeńcowi, bo kto wie, czy mu nie wypadnie z pańskich pałaców powrócić do białego domku w Dobrowodach. Usłuchał tej rady Karpiński, a jak była trafną, później się to pokazało.

II.

1780 – 1783.

(Przyjazd Karpińskiego do Warszawy. Dwa ogniska ruchu umysłowego w Warszawie. Dwór królewski i dwór księcia generała ziem podolskich. Pobyt Karpińskiego z księciem na Litwie. Pismo o wymowie i znajomość z Kniaźninem. Powody rozstania się z Czartoryskim. Karpiński nauczycielem przy Sanguszce.)

Warszawa, kiedy do niej wjeżdżał Karpiński w r. 1780*), była głównem ogniskiem tak

---

*) Pam. str. 150. U Korniłowicza mylnie stoi rok 1783. Że to było przy końcu roku 1780, można wnioskować z tego, że wkrótce po przybyciu Karpińskiego do domu Czartoryskich obchodzono tam rocznicę imienin księżniczki Teresy Czartoryskiej (15 października), rocznicę, którą poeta upamiętnił wierszem pt. „Na rocznicę imienin zmarłej ks. Teresy Czartoryskiej.“ W pamiętniku (str. 151) przez omyłkę nazywa tę rocznicę rocznicą śmierci.

politycznego jak literackiego ruchu w Polsce. Powoli i z trudem fermentowały tu myśli o reformie politycznej i społecznej narodu, który w lepszych swoich przedstawicielach uczuwał całą rozpaczliwość swego położenia, i z tego to fermentu miała się wyklarować potem konstytucja 3go Maja. Co się tyczy reformy literackiej, to ta była już dokonaną, i perjod makaroniczny znikał już z oczu żyjącego pokolenia. Wszystko hołdowało pseudo-klasycyzmowi francuskiemu, wszystko w literaturze naszej było gładkie, równe, świecące, z pokostem francuskim. Duch wiejący z tej literatury był także wiatrem francuskim: wyśmiewał ciemnotę, przesądy i zabobony społeczne i religijne, które znikły z literatury, ale tkwiły jeszcze w społeczeństwie.

Do tak szybkiego i stanowczego zwycięstwa nowych pojęć i form w literaturze, najwięcej się przyczyniło to, że na tron polski po drugim Sasie wstąpił człowiek, który z wychowania i skłonności sprzyjał nowemu zwrotowi, a który przy tem zaspokojenia ambicji mógł szukać tylko w szerzeniu światła w narodzie i w spieraniu literatury. Wyniesiony łaską carowej i poparciem Czartoryskich na tron, a niezdoławszy wytworzyć sobie silnego stronnictwa w narodzie, Stanisław August był zupełnie skrępowany we wszystkich swoich czynnościach politycznych, i nie mógł zrobić w polityce żadnego samodzielnego kroku, nie narażając się na to, że będzie musiał ten krok natychmiast odwołać. Za to na polu oświaty i literatury miał rozwiązane ręce: wolno mu było ustanowić komisję edukacyjną, protegować poetów, zachęcać uczonych do pisania dziejów ojczystych.

Ani Fryderyk pruski, ani Katarzyna II, gospodarująca już w Polsce jak w kraju podbitym, nie zabraniali mu tego, uważając to za nieszkodliwą dla swoich planów zaborczych zabawkę. Przecież ci to sami monarchowie wiedli przyjacielską korespondencję z Wolterem, bynajmniej nie przewidując, do jakiej katastrofy prowadził wolterjanizm: tak samo też nie przypuszczali, żeby szerzenie światła w narodzie polskim mogło przyczynić się do jego odrodzenia.

Z samej natury zresztą, z usposobień swoich, Stanisław August chylił się ku roli protektora nauk i poezji, jaką miał odegrać. Odebrawszy miękie i pieszczone wychowanie, nie miał ani źdźbła wojowniczych popędów w sobie; natomiast był zwolennikiem pokoju, wygody i salonowych rozrywek, do których się zaliczała literatura i sztuki piękne. Był on najbardziej w swoim żywiole, gdy na takim czwartkowym objedzie, na którym się zbierały wszystkie ówczesne znakomitości literackie, po smacznem jedzeniu i kilku kieliszkach wybornego wina, mógł słuchać jakiegoś wiersza Naruszewicza lub Trembeckiego, albo przysłuchiwać się i brać udział w żwawej, dowcipnej i żartobliwej rozmowie. Wynagradzał tem sobie w części owe ciągłe i niezliczone upokorzenia, których w dziedzinie polityki doznawał od pełnomocników obcych mocarstw, od zazdroszczących mu korony magnatów, a nawet od własnej rodziny. Niesłusznie też byłoby nie widzieć i patrjotycznej myśli w jego zabiegach około oświaty: Stanisław August miał dobre chęci i szczerze pragnął, aby się naród podźwignął ze strasznego upadku, do jakiego przez wieki dążył; ale przy tych dobrych chęciach i przy dość jasnym rozumie była w nim wola tak słaba, tyle nędznych drobnostek na nią oddziaływało, że postać jego w czytającym dzieje tych czasów dziwną musi wywołać kombinację uczuć: współczucia, litości i pogardy. Bądź co bądź wszystko się składało na to, aby dwór stanął na czele nowego ruchu umysłowego, i swoim wpływem, o wiele większym w życiu towarzyskiem, jak politycznem, wyjednał mu wyłączne panowanie w literaturze.

Szczególnie poezja cieszyła się wielkiemi względami dworu; wszyscy pierwszorzędni poeci byli osobistymi króla przyjaciółmi i doznawali wielkich łask królewskich. Dość przypomnieć nagłe wyniesienie Krasickiego na biskupstwo warmińskie, przyjacielski stosunek z Naruszewiczem i wyjednanie mu biskupstwa, do czasu przynajmniej in partibus infidelium, szambelaństwo i pensję Trembeckiego. Naturalnie, że poezja w ten sposób przez dwór wspierana musiała się stosować do jego wymagań i tonu, a poeci za doznawane dobrodziejstwa musieli się wypłacać uroczystemi pochwałami dla tronu, pochwałami, które często przechodziły w śmieszne pochlebstwa, jak u Naruszewicza, a czasem w podłą uniżoność, jak u Trembeckiego.

Obok dworu królewskiego było w Warszawie jeszcze inne ognisko ruchu umysłowego, nie tak świetne, jak tamto, usiłujące jednak z niem współzawodniczyć. Był to dwór księcia Adama Czartoryskiego, generała ziem podolskich. Dwór ten nie stale przebywał w Warszawie, przenosił się z miejsca na miejsce za księciem, którego obowiązki, czynności lub upodobanie pociągały w tę lub ową stronę, i najdłużej, szczególnie potem, przesiadywał w Puławach, ztąd też znany jest w historji pod nazwą puławskiego. Książę Adam, syn wojewody ruskiego, a cioteczny brat króla, wychowany był w nowych pojęciach i odziedziczył po ojcu i stryju reformatorskie tradycje, ale nie miał ich politycznych zdolności i twardego charakteru, i dla tego w polityce nie odegrał wielkiej roli. Lubił literaturę, sztuki piękne, protegował poetów; o skłonności do kobiet juześmy wyżej napomknęli*). Przy sporej dozie próżności wiele miał dobrych popędów, i na rozmaitych stanowiskach publicznych robił dość dużo dobrego. Z upodobań zatem, ze skłonności, z chwiejnego charakteru podobny był do króla, z którym łączyło go także bliskie pokrewieństwo, a z początku wspólność polityki, ale od czasu jak Czartoryscy spostrzegli, że pomoc Rossji, której szukali, na złe zaczyna wychodzić Polsce i zerwali z dworem petersburgskim, a Stanisław August nie śmiał tego uczynić i poddał się zupełnie wpływowi rossyjskiemu, odtąd tajona uraza dzieliła księcia Adama od króla, zanim w kilka lat po chwili, która nas obecnie zajmuje, nie wybuchła w słynnym procesie Dogrumowej. Nie zapomniał też zapewne książę Adam, że i on był kandydatem do tronu, i że właściwie jemu należała się korona, jako owoc starań ojca i dziada, i pamięć o tem musiała ciągle podsycać urazę.

Poeci, którzy się skupili około dworu księcia Adama, nie mogli się mierzyć pod względem zdolności i wykształcenia ze świetnemi gwiazdami ówczesnej poezji, Krasickim, Trembeckim, Węgierskim, Naruszewiczem. Były to drobne talenta, oddane zupełnie rodzinie Czartoryskich, i stanowiące niejako klan literacki tego rodu. Nazywali to niektórzy szkołą puławską. Rymotworstwo tej szkoły ogólną barwą swoją nie różniło się od reszty współczesnej poezji, tak samo było naśladownictwem, często ślepem, francuskich wzorów, miało jednak pewne odrębne cechy. A mianowicie było w niej przy wielu dobrych chęciach dla narodu pewna zaściankowość, polegająca na tem, że wszystko się w tej poezji obracało około rodziny Czartoryskich, jej stosunków, zamiarów i dążeń. Typowym przedstawicielem tego rymotworczego zaścianka był Kniaźnin, poeta, który został dworzaninem księcia, i całem sercem pokochawszy dom, który go przytulił, prawie wyłącznie poświęcił swoją muzę na usługi tego domu. Pochlebstwa w rymach puławskich były niemniej jak u poetów śpiewających do tronu, ale takie to już było stanowisko służebne poezji, że pochlebstwo uważało się za coś nieodłącznego od niej.

Do tego domu przybywał Karpiński, pełen najlepszych nadziei, pewny, że na oścież otwierały się przed nim podwoje do szczęśliwego, wygodnego i niezależnego życia, w którem będzie mógł swobodnie przestawać z muzami. Miał on nadzieję, że protekcja Czartoryskiego będzie tylko wstępem do innej, wyższej protekcji, od której się mógł spodziewać daleko więcej zaszczytów i darów jak od księcia. Wiedział zapewne od Witosławskiego, że to książę Adam pierwszy zalecił Naruszewicza królowi, mógł więc spodziewać się, że i z nim podobnie postąpi. Ale inne to były czasy; pomiędzy księciem Adamem a królem nie było już dawniejszej harmonji. O tem Karpiński nie musiał wiedzieć, bo pozornie istniały jeszcze wówczas dobre stosunki; poeta zaś nigdy przenikliwością się nie odznaczał. W kilka dni po przyjeździe przedstawiony był królowi przez Naruszewicza, który niedawno powrócił był z Polesia i słynął już nietylko jako poeta, ale i jako historyk. Król, który miał zawsze dla każdego grzeczne słówko na podorędziu, powiedział do Karpińskiego: „Waćpana sielanki we Lwowie drukowane dawniej nam go zaleciły; kochanek Justyny będzie i w Warszawie kochany.“ Słowa te utwierdziły naszego poetę w nadziei, że nietylko w księciu ale i w królu znajdzie protektora i dobrodzieja.

(C. d. n.)

---

*) Ciekawa charakterystyka księcia Adama znajduje się we Wspomnieniach damy polskiej z XVIII wieku (Archiwum wróblewieckie zeszyt I. str. 9): „Ten człek całe życie przepędziwszy w roskoszy, nie zatrudniał się tylko kobietami; miły, przyjemny w posiedzeniu, całej społeczności stawał się ozdobą i kochaniem. Od trzech lat zakochał się w pannie dworskiej hetmanowej Ogińskiej i całe te trzy lata (do 1789) w Sielcach przesiedział. Wydał ją za szambelana itd.“

Z OPŁATKIEM

do

J. I. Kraszewskiego.

Święcił się niegdyś zwyczaj narodu,
Co do odległej szedł potomności:
Że w każdym domu chleb z czarką miodu,
Dla spodziewanych stawiano gości.

Ale dziś mili goście daleko...
Choć się ich czeka z dnia na dzień dłużej,
Za siódmą górą, za siódmą rzeką,
Żaden nie wraca ze swej podróży.

Żaden z nich — tęskną myślą przybity,
Ani pomyśli że w Polsce całej,
Wszędzie stół dla nich stoi nakryty,
I miodu czasza, sól i chleb biały.

I nad chleb więcej po stokroć warte,
A nad miód słodsze i pożądane:
Czeka was serce nasze otwarte,
Jak chleb gościnne — jak miód wylane.

Ileż już razy — wiadomo Bogu!
Krążyły wieści o was najszczersi,
Że do własnego wracacie progu,
Polskiem powietrzem odświeżyć piersi!

Ileż — w gasnące nieraz ognisko
Drew przyrzucono — marząc zbyt śmiele,
Że nasi drodzy goście tuż... blisko...
Lecz i wieść gasła jak skra w popiele!

Dni przeczekane, miesiące, lata,
Już wypłoszyły wszelką nadzieję...
A choć wieść o was krąży skrzydlata,
Wnet krótką radość lada wiatr zwieje.

Choć stół jak dawniej okrążym w koło,
To patrząc w próżne dla was nakrycie,
Już nie ucztujem dziś tak wesoło: —
— Stracić nadzieję — to tak jak życie!

* * *

Z tych co nam drodzy i co nam mili,
Któż nam nad Ciebie droższym jest więcej?
Któż pożądanym bardziej w tej chwili,
I któż nad Ciebie kochan goręcej?

Ile się cnoty w nas samych chowa,
Ile przebytych marzeń, boleści —
Wszystkoś to czarem twojego słowa,
Zaklął w obrazy swoich powieści.

Powieści Twoje, — to jak zwierciadło
Zaklęte owo — w starej legendzie:
Na tło którego gdy raz coś padło,
To się w niem wiecznie odbijać będzie.

Ty sam jak Znachor, albo Czarodziej,
Co raz to wskrzeszasz obrazy nowe:
W Twej „Starej baśni" nasz Piast kołodziej,
Wszedł niby jare słońce lipcowe.

I z po za głuszy dziejów głębokiej,
Szle grzmiące „wici" na świat daleki:
„Gdy dzieje z takiej trysły opoki,
To płynąć będą aż po wiek wieki!"

Za miód ten w Piasta podany czaszy,
Dziś, gdy nam bardziej gorzko i łzawo,
Już nie do samej czci tylko naszej,
Lecz do miłości masz pierwsze prawo!

Więc tam do Ciebie pod obcem niebem,
Idę o Mistrzu i Myślicielu:
A żem syn ziemian — więc idę z chlebem,
A żem wysłannik — mówię za wielu:

W imię starego Polski zwyczaju,
W imię sióstr naszych, ojców i matek —
Oto Ci Mistrzu przynoszę z kraju,
W samotną wilję — biały opłatek!

Lwów 24 Grudnia 1876. *Władysław Bełza.*

Gabryel Conroy.

Romans

BRET HARTA.

Tom drugi.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ VI.

Skarb znaleziony — i stracony.

Ponieważ z rozmowy, jaka się odbyła owego wieczora między Olly a jej szwagrową, nie jest znane ani jedno słowo, to obawiam się, że czytelnik mężczyzna będzie musiał zapatrywać się na obie te damy w świetle opinii Gabryela. Czytelniczka, której umysłowi szybko i dobrze pojmującemu charakterystyczne słabości, ja wyłącznie poświęcam następujące karty, naturalnie że nie będzie potrzebować żadnych dalszych wyjaśnień ale poprostu zaraz uwierzy, że Olly i pani Conroy następnego poranku były najlepszemi przyjaciółkami, i że Gabryel odtąd przez obie damy poprostu zaniedbany został, jakby zasługiwał na to.

— Nie słusznie traktujesz Julję, mówiła Olly pewnego poranku do Gabryela, gdy na pięć minut mogła oswobodzić się od nieodstępnego towarzystwa pani Conroy.

Gabryel ze zdziwieniem otworzył oczy.

— W ostatnich czasach, zaczął uniewinniać się, niewiele zajmowałem się domem, ponieważ myślałem, że ty i Julja, nie bardzo potrzebujecie mojego towarzystwa; a jeżeli zapasy się uszczuplają, Olly, to pochodzi to ztąd, że zawiele czasu zmarnowałem na poszukiwaniach i dlatego nie doszedłem do uporządkowania się na moim udziale i do uzbierania złotego piasku. Zgadzam się na to, że beczka z wieprzowiną jest nieco za lekka; ale ja to wkrótce naprawię, Olly, wkrótce.

— Ale to nie to, Gabie... nie o zapasy tu idzie... to jest... ty wcale nie wiesz jak się masz zachowywać jako małżonek... tak! teraz już wiesz!

Bez najmniejszej oznaki niechęci Gabryel w zamyśleniu popatrzył na siostrę.

— To prawda, rzekł, wierzę temu... tak jest. Ponieważ poprzednio nigdy nie byłem żonaty, i że tak powiem w całej sprawie jestem jeszcze niedojrzały i neidoświadczony, to bardzo być może, że nie zadowalniam należycie kobiety, która już ma w tem doświadczenie. A jej mąż był uczonym, Olly, uczonym... człowiekiem naukowym!...

— Tyś tak dobry jak i on! rzekła Olly, której mowa była mniej wyraźną aniżeli uczucia — i jestem tego przekonania, że ona kocha cię nierównie więcej. Ale ty wcale nie jesteś dostatecznie zakochanym, dodała gdy Gabryel zastanowił się, — popatrz tylko na młodą parę, która przybyła z Simpsonu i zamieszkała u pani Markle. Tam względy jakie mąż żonie okazuje, końca nie mają — poprawia jej chustkę, odmyka okno, to znowu zamyka i co pięć minut pyta jak się ma... i siedzą, siedzą tak mniej więcej! — tu Olly naśladowała o ile mogła jak siedzieli młodzi małżonkowie, usiłując objąć małemi rączkami potężną talję Gabryela.

— Jakto? przy ludziach? zapytał Gabryel z niemałym wstydem spoglądając na obejmującą go siostrę.

— A rozumie się... przy ludziach. Właśnie chcą oni, by wiedziano, że są małżonkami.

— Olly, rzekł Gabryel w zwątpieniu, twoja szwagrowa nie jest takiego usposobienia. Coś podobnego poczytałaby ona za coś... coś.. ordynaryjnego.

Ale Olly odpowiedziała tylko swawolnem spojrzeniem, potrząsła głową, opuściła go z tajemniczą radą: „Tylko sprobuj!" i pobiegła do pani Conroy.

Na szczęście Gabryela pani Conroy nie dawała ze swej strony żadnej sposobności dla okazania jakiejkolwiek czułości. Chociaż nie robiła żadnego napomknienia na przeszłość i wszystko co się stało zupełnie ignorowała, zachowała jednak pewną nieśmiałość wobec niego, co go z jednej strony uwalniało od ciężkich obowiązków, z drugiej znacznie osłabiało wiarę w nieomylność zdania Olly. Gdy pewnej pięknej niedzieli wyszli na przechadzkę na jedyną długą ulicę w One horse gulch, i uwzględniając uwagi Olly tak dalece pozwolił sobie, że ostentacyjnie rękę swą położył na talji żony swojej, a dama stanowczo z jego objęć wyśliznęła się, powątpiewania jego zwiększyły się jeszcze.

— Zrobiłem tak Olly, boś mi doradzała, powiedział — i gotów jestem oddać moją skórę, jeżeliby to jej choć trocha przyjemnem było. Nawet, o ile się zdawało, to i znajomym może wydało się to dziwnem. Joe Hobson zaraz mnie wyśmiał.

— Kiedyż to było? zapytała Olly.

— W niedzielę.

— Gdzie?

— Na głównej ulicy.

Olly podniosła w górę oczy i zawołała:

— Jeżeli istnieje jaki przez Boga zapomniany niezdarny bałwan — to ty nim jesteś, Gabie!

— Coś i mnie się tak zdaje, rzekł Gabryel.

Jakkolwiekbądź, nastąpił rodzaj zawieszenia broni między trzema wojującemi stronami i pani Conroy nie pojechała za interesami do San Francisco. Trzeba przypuścić, że nagłe jej interesa zostały załatwione drogą korespondencji, gdyż w ciągu ostatnich dwóch tygodni zawsze okazywała żywą niespokojność przy nadchodzeniu poczty, regularnie trzy razy na tydzień przybywającej. Otóż pewnego dnia przyniosła jej ona nie tylko list, ale nawet osobę, która w przebiegu tego opowiadania dość ważne miejsce zajmie.

Wśród wielkiego zadowolenia miejscowej ludności wysiadła owa osoba z winghamskiego pocztowego powozu. Pominąwszy powszechnie znany fakt, że przyjezdny był bogatym bankierem i kapitalistą z San Francisco, wszystkich jadących z nim zjednała mu w wysokim stopniu, jego szybka i bezwzględna energja, wygodna skeptyczna familjarność i wyraźna bezwzględna pogarda dla wszystkiego, co nie było praktycznem i materjalnem — przedewszystkiem zaś sława, że był zawołanym spekulantem, który jak się zdawało za zasadę przyjął powodzenie. Jadący z nim ze zdumieniem słuchali jego zwięzłej mowy i na pół proroczych orzeczeń. Dogmata jego, w sposób rubaszny wypowiadane z familjarnem trzepaniem po ramieniu słuchacza, przebaczali mu. Nawrócił on ich do swego głęboko sięgającego materjalizmu — może nie tyle wymową swą, ile logicznemi wywodami z własnej pomyślnej praktyki. Radykalizm i demokracja chętniej znajdują ucho, gdy apostoł ich jest w świetnem położeniu i dobrych stosunkach, aniżeli gdy ubrany jest w dryllich i daje do zrozumienia, że jest bez miejsca. Ludzka natura pożąda owocu z drzewa świadomości złego i dobrego, woli jednak dorabiany klucz do raju otrzymać od szczęśliwego posiadacza, aniżeli od złodzieja, który zeń przedwcześnie wygnany został.

Prawdopodobnem wszakże jest, że posiadacz tych podziwienia godnych przymiotów bynajmniej nie czuł ostrych drwin, jakiemi obecnie pierś autora a może i czytelnika jest przepełniona. Podobnie jak prawdziwy bohater, nie świadomy on był przymiotów swego bohaterstwa, a oprócz tego wcale nie był zdolny do ich analizowania. Tak że nie obliczając się poprzednio i nie obmyślając swego planu, starał się pozbyć swoich wielbicieli, ażeby zyskać czas potrzebny do interesów, nie wprowadzając przy tem w błąd mieszkańców

One horse gulch i bynajmniej nie napomykając o swych zamiarach.

Że ogólne interesa One horse gulch zwróciły na siebie uwagę tego wpływowego kapitalisty, że zamierza on urządzić nowy hotel, lub też niezależną komunikację pocztową z Sacramento — takie stawiano domysły o nowej osobistości.

Każdy dostarczał mu dobrowolnie dokładnych informacyj; z licznych do uszu jego dochodzących faktów i teoryj otrzymywał on należyte wiadomości o wszystkiem czego chciał, nie potrzebując wypytywać się. Jeżeli raz jakie indywiduum zjednało sobie rozgłos rutyny i zręczności w interesach, to pewno świat zaraz mu znajdzie miejsce takie, że uwolni go od trudu zbierania pożądanych wiadomości.

Tym sposobem i przybyły został powiadomiony o długości, szerokości i grubości, o teraźniejszości i przyszłości One horse gulch. Gdy doszedł do najdalszego końca miasteczka, zwrócił się do towarzyszących mu i rzekł.

— O dotkniętych przez was przedmiotach zrobię zapytanie.

— Jak?

— Drogą telegraficzną — jeżeli się wam spodoba.

Wydarł kartkę ze swej książki do notat i napisał na niej kilka wierszy.

— Co pan myślisz robić teraz?

— O! ja trochę się tu rozpatrzę. Sądzę, że nie wiele znajdę zajmującego...

— Nie, ten pograniczny udział należy do Gabryela Conroy.

— Sądzę, że nie wiele wart.

— Nie wiele. Wystarcza mu na życie.

— Na teraz dziękuję... zjedzmy dziś objad razem, o trzeciej... gdzie się panom spodoba. Panowie o tem najlepiej sądzić mogą. Zaproście kogo, jeźli się podoba. A teraz adieu!

Po tych słowach towarzyszący wielkiemu mężowi rozstali się znim, pełni podziwu dla bystrej stanowczości i liberalnego usposobienia wysokiego gościa.

Jak tylko nieznajomy pozostał sam, zaraz zwrócił kroki w kierunku udziału Gabryela. Gdyby był wielbicielem piękności natury, lub dostępny wrażeniom sprawianym przez widok dzikich okolic, to niezdołałby uniknąć pewnego uczucia zachwytu na widok stopniowego przechodu od łagodnie pasterskiego krajobrazu ku dziko-romantycznemu. W kilka minut przeszedł przez pas ogromnych jodeł i wstąpił na wyżynę bez cienia, słońcem spaloną, tu i ówdzie w miejscach gdzie jeszcze znajdowały się słabe ślady roślinności, pokrytą wulkanicznemi skorupami i żużlami rozsypującemi się w proch pod nogami, co czyniło chodzenie trudnem i niebezpiecznem.

Gdyby posiadał oko uczonego, to niezawodnie poznałby działalność wulkaniczną w ostrych rozpadlinach, stromych pochyłościach, jarach i w podobnym do łożyska rzeki wąwozie, który jak długi język w dolinę się wsunął.

Ale czuję się spowodowanym do wierzenia, że nieznajomy w obecnej chwili jednego tylko doznawał wrażenia, a mianowicie wrażenia gorąca. Na połowie drogi pod górę zdjął on surdut i chustką obtarł sobie pot z czoła. Pomimo to pewne właściwości w sposobie wchodzenia na górę świadczyły, że rzecz ta nie jest mu obcą.

Dwa czy trzy razy zatrzymywał się i spoglądał na drogę, którą przebył. Chociaż czynność ta była małoznaczną, znamionowała jednak mieszkańca gór nieznającego przeciwległej pochyłości, w razie potrzeby zabezpieczającego sobie powrót tą samą drogą.

Stanąwszy na szczycie obejrzał się dokoła.

Bezpośrednio tuż pod jego nogami, grunt, który osadzie nadał nazwisko, a z którego właśnie zebrano złote żniwo, rozszerzał się w gęsto zarosłą lasem dolinę. Woń balsamiczno-smolna, słońcem wywołana, zalatywała aż do niego.

Przez szczelinę w zachodniej części kanonu ukazywała się na horyzoncie słaba, zaledwie widzialna linia morza. Na południu i północy wznosiły się wysokie gęsto jedliną porosłe wzgórza w formie tarasów i potężne ciemne monolity. Na wschodzie ukazywały się wyższe znacznie wzgórza i dwie czy trzy potężne góry, a między niemi błyszczały na słońcu dziwnie wyglądające puste przestrzenie, białe, jednostajne. Wszakże nieznajomy musiał dobrze znać takie białe śniegowe pole, gdyż przez niejaki czas stał jak skamieniały, z nieruchomym wzrokiem i zaciśniętemi ustami w dół wpatrując się. W końcu gwałtownie oderwał się od tego widoku.

Na szczycie wzgórza, wszędzie pokopane były liczne otwory, widocznie niedawno. Z jednego z nich nieznajomy wyjął kawałek odłupanej skały i począł w niego wpatrywać się. Potem zszedł powoli po mniej stromej zachodniej pochyłości w kierunku miejscowości, gdzie jego bystre oko dostrzegło kopiącego człowieka.

Niedługo droga doprowadziła go do pokładu czerwonej gliny, drewnianych rynien, drewnianych skrzyń do przemywania złota, kadzi, łopat, słowem do przedmiotów stanowiących nieodzowne składowe części porządnego *claimu* (udziału).

Gdy się przybliżył kopacz złota wstał z ławki, na której siedział schylony i wsparty na swym kilofie i zwrócił twarz ku nadchodzącemu. Barczysta jego, atletyczna postawa, gęsta jasna broda, poważny i spokojny wzrok niezatarte sprawiały wrażenie. Był to Gabryel Conroy.

— Dzień dobry! zawołał nieznajomy żywo wyciągając ku Gabryelowi rękę, którą ten mechanicznie ujął — doskonale pan wyglądasz. Przypominam sobie pana doskonale; ale pan mnie nie przypominasz sobie? co?

Uśmiechnął się lakonicznie, a potem z niecierpliwością utkwił wzrok w Gabryela, stojącego w zakłopotaniu.

Gabryel nie mógł przezwyciężyć swego zdumienia i napróżno walczył przeciw dziwnemu napływowi wspomnień. Spojrzał dokoła siebie Słońce przesuwało się ponad znanemi mu i upodobanemi przedmiotami. Nic nie zmieniło się... tymczasem ta twarz... ten głos...

— Przybyłem tu w interesie, ciągnął nieznajomy dalej, dając tem wyraźnie do zrozumienia, że dla niego kwestja odnowienia znajomości daleko mniej jest ważną, aniżeli własne sprawy — i... co mi pan proponujesz?

Wychylił się na ławce, wsparł się na Gabryela kilofie, stojącym tuż obok, i czekał na odpowiedź.

— To Piotr Dumphy, wybełkotał Gabryel stłumionym głosem.

— Tak jest. Teraz poznajesz mnie pan? Tak też myślałem... przeszło pięć lat upłynęło... prawda? Ciężkie wtedy były czasy, Gabryelu... prawda? hm!... ale pan dobrze wyglądasz... pewno dobrze idzie. Co?... No, co pan zamyślasz robić z tym udziałem gruntu? Coś pan postanowił, hę? Posłuchajno pan... chcę panu coś zaproponować... A naprzód, czy wasz tytuł własności jest w porządku? hę?

Osłupiała postać Gabryela tak jasno przekonywała, pomijając jego zdziwienie z powodu spotkania się z Piotrem Dumphy, że ani słowa nie zrozumiał z tego co było powiedziane — że Dumphy zatrzymał się.

— Chodzi tu o tę próbkę, mówił dalej, ostro wpatrując się w Gabryela, o próbkę którą mi pan przesłałeś.

— Jaką próbkę? zapytał Gabryel, ciągle jeszcze myślą w przeszłość zatopiony.

— Którą mi przysłała żona pana... wszakże to wszystko jedno!

— Nie bardzo, odrzekł Gabryel ze zwykłą swą otwartością. Pomów pan lepiej z nią o tem. To jej rzecz. Teraz przypominam sobie, że mówiła mi coś o tem — mówił dalej zamyślony — o posłaniu do Frisco kamieni dla zbadania; ale ja w całej tej sprawie nie mam najmniejszego interesu... Lepiej pomów pan z nią samą.

Teraz przyszła kolej na pana Dumphy, by się zdumieć. Ponieważ najzupełniej nie pojmował charakteru człowieka stojącego przed nim, więc sądził, że pod powierzchownością prostoty ukrywa się tylko zręczny wykręt. Oprócz tego przypomniał sobie, że za dawniejszych czasów, gdy kwitła firma komisowo handlowa Dumphy et Jenkins, było również jego zwyczajem, że interesantów, z którymi nie chciał traktować osobiście, odsyłał do Jenkinsa, zupełnie tak jak teraz sam odsyłany był do pani Conroy.

— Rozumie się, rozumie się, odparł prędko; ja chciałem tylko zaoszczędzić czas, którego dziś mam bardzo skąpo i dlatego przyszedłem prosto do pana. Nie mogę czekać. Ale możecie napisać.

— Zgoda, rzekł Gabryel, być może, że to na jedno wyjdzie. Gdy pan się z nią nie zobaczy, to już ona będzie wiedzieć, że nie jego w tem wina. Już ja jej to powiem.

A gdy zakończył na ten raz rozmowę dla siebie nie ważną, zapytał następnie żywo:

— Nie słyszałeś pan nic o Gracji, panie Dumphy? o pięknej młodej dziewczynie, która tam była ze mną. Nie słyszałeś pan nic o niej... albo może widziałeś ją... co?

Takie w tej chwili postawione pytanie, naturalnie, że p. Dumphy mógł wyjaśnić sobie tylko tem, że pani Conroy z czemsiś przyznała się Gabryelowi, że ten chce tylko posłużyć się jej pomocą jako pożytecznem narzędziem przydatnem w układach. P. Dumphy był tego przekonania, że ma do czynienia z dwoma doskonałymi aktorami, z których jeden był urodzonym obłudnikiem. Po raz pierwszy w swem życiu gniewał się na złe przymioty. Nigdy nie cenimy tak wysoko prawości i szczerości, jak gdy pragniemy znaleźć je w naszych przeciwnikach.

— Wyszła z jednym młodym chłopcem, odpowiedział p. Dumphy, prawda? Tak, tak, przypominam sobie. Chciałbyś pan zobaczyć ją znowu? Dla pana tak samo dobrze, gdy jej nie ma. Ja na miejscu pana, wolałbym poczytać ją za umarłą.

Chociaż p. Dumphy był przekonany, że interesowanie się losem siostry było tylko obłudą ze strony Gabryela, miał jednak nadzieję, że dotknął uczucia braterskiego.

Zamierzył odejść.

— Czy nie mógłbyś pan powrócić i pomówić ze mną trochę o dawnych czasach? zapytał Gabryel, który pod urokiem dawnych wspomnień, uczuł się życzliwszym ku panu Dumphy i nie-

chciał zauważyć przycinku zawartego w ostatnich jego słowach; — jest tam Olly... to dziecko... mała siostrzyczka Gracji, — teraz już wyrosła na miłą dziewczynkę... Wiesz pan co, dodał z energją, odkładając kilof i łopatę, ja sam zaraz pójdę z panem.

— Nie, nie, szybko odpowiedział p. Dumphy— interesa! nie mogę!... na inny raz! Żegnam! Innym razem pomówimy. Tymczasem adieu!

I poszedł przyspieszonym krokiem, aż dopóki osady i właściciela jej nie stracił z oczu po za drzewami. Potem stanął, zawahał się i nie długo myśląc przez wzgórze nawrócił prosto do domu Gabryela.

Pani Conroy albo czekała na niego, albo też dostrzegła nadchodzącego, gdyż wyszła naprzeciw niemu ku drzwiom. Z uprzejmością i w wyszukanej toalecie, co dla każdego innego mężczyzny byłoby niebezpiecznem, wprowadziła go do małego swego parloru. Ale jak większa część mężczyzn, będących w zasłużenie złej opinji u kobiet, p. Dumphy zawsze oddzielał ściśle galanterję od interesu.

— Jestem tu na chwilę tylko, powiedział. Ubolewam, że dłużej pozostać nie mogę. Pani dobrze wygląda!

Pani Conroy odrzekła, że nie została uprzedzona o tej przyjemności osobistego spotkania się, zapewne dlatego, że pan Dumphy zawsze zawalony jest mnóstwem interesów.

— Tak. Ale sądzę, że przynoszę dobre wiadomości. Próbki rudy, które pani przysyłałaś, zbadane zostały przez ludzi kompetentnych, posiadających autorytet w swoim fachu. Coś da się zrobić. Złota wprawdzie niema, ale jest ośm procentów srebra. Co? pani spodziewałaś się tego?

Ale pan Dumphy mógł wyraźnie wyczytać z twarzy pani Conroy, że się nie spodziewała.

— Srebro, powtórzyła, — ośm procentów!

Było to dla niego niejasnem; ale uczuł ulgę. Widocznem było, że nie zasięgnęła jeszcze żadnej rady, i że tym sposobem był panem sytuacji. Zapytał więc krótko:

— Co pani proponujesz!

— Sama nie wiem, odrzekła, jeszcze nie namyśliłam się...

— Słusznie, przerwał Dumphy,—pani nie robisz żadnych propozycyj... Przebacz mi pani, ale — dodał wyjmując zegarek — czasu mi brak. Ośm procent, to coś znaczy! Ale kopalnia srebra, wymaga kopalni złota, by mogła być w ruch wprowadzoną. Naprzód same wydatki, żadnych dochodów, dopóki nie zajdzie się należycie głęboko. Koszta założenia, urządzenia... dwadzieścia procentów. Wysłuchaj pani mojej propozycji! Złożymy wszystko do rąk towarzystwa akcyjnego. 100 udziałów. Pięć miljonów kapitału. Pani bierzesz 50 udziałów. Ja biorę 25. Resztujące 25 umieszczam gdzie indziej, jeżeli będę mógł... Jak się to pani podoba?... co?... co?... Nie możesz pani zdecydować się? No... pomyśl no pani o tem.

Ale wszystko, o czem pani Conroy myśleć mogła, ześrodkowywało się na tych dwóch i pół miljonach! Ogromna ta kwota w olbrzymich cyfrach stała przed jej oczyma; w pokoju, w złotych literach, widziała ją na bankowym przekazie w świetnych kupach srebrnej monety, zapełniającej jej parlor aż do sufitu. Jednak ze zmienioną twarzą zwróciła się i rzekła:

— Ależ te... te pieniądze... są dopiero w oczekiwaniu...

— Przekaz pani będzie honorowany w dziesięć minut po okazaniu akcyj.

Zapewnienie to uspokoiło panią Conroy.

— Pomówię z moim mężem, rzekła.

P. Dumphy uśmiechnął się — znacząco, wyraźnie, bezczelnie. Pani Conroy żywo zarumieniła się, ale nie z tego powodu jak sobie Dumphy tłumaczył, że podejrzywała, iż podstęp jej jest odkryty, ile raczej jakby zaczęła wstydzić się stanowiska, jakie zajęła wobec tego człowieka i z obawy, że ten odkrył stanowisko jej w obec męża.

— Mówiłem już z nim, powiedział Dumphy z wyrachowanym spokojem.

Krew znikła z twarzy pani Conroy.

— On nic o tem nie wie, rzekła cicho.

— Naturalnie, odpowiedział Dumphy na półprzecząco; mówił mi to; odesłał mię do pani. Wszystko jest jak należy.

— Pan nic mu nie powiedziałeś! Pan nie ośmieliłeś się mu powiedzieć!... krzyknęła gwałtownie.

P. Dumphy przez chwilę patrzał na nią zdziwiony. Potem wstał, zamknął drzwi i rzekł po grubijańsku w niedwuznaczny sposób zwracając się do niej:

— Posłuchaj no pani! czy pani chcesz powiedzieć, że to, co ten człowiek... mąż pani... powiedział, jest prawdą?... że nie wie on nic o pani, ani o okolicznościach, które ją tu sprowadziły?

— Nic nie wie! przysięgam, że nic nie wie! odrzekła zmięszana.

Trudno wyjaśnić dla czego, — ale Dumphy uwierzył jej.

— A jakże mu pani to wyjaśnisz? Bez niego nic pani nie zrobisz.

— Dlaczego ma więcej wiedzieć! Jeżeli on kopalnię tę odkrył, to jest ona jego własnością... i nie potrzebuje być przezemnie darowywaną, jak gdybyśmy byli zupełnie obcy sobie. Prawo czyni go właścicielem kopalni, którą odkrył, nie zważając na czyim gruncie to się stało. Udając się za jego siostrę, ja żądałam tylko wydania mi aktu na grunt. On zrobił odkrycie, które temu gruntowi wartość nadaje!... Tak, nawet ta siostra— dodała z ogniem w oczach — nawet ta siostra, gdyby jeszcze była przy życiu, nie mogłaby zaprzeczyć mu tego prawa.

Było to prawdą! Kobieta ta, na której słabość on liczył, wszystkich ich wyprowadziła w pole, nie naraziwszy się niczem, nie skompromitowawszy się bynajmniej!.. A jeszcze do tego w sposób tak prosty! Dumphy, chociaż tak wyfrycowany, niemógł jednak powstrzymać swego podziwu, i wskutek tego powiedział otwarcie i serdecznie.

— Brawo!... doskonale!...

A natenczas — o kobiety! kobiety! ta przebiegła, ta chytra awanturnica, poczęła płakać i prosić go, by nic nie mówił jej mężowi.

Przy tej pobieżnej oznace uniwersalnej kobiecej słabości p. Dumphy nastawił uszu i znowu począł manewrować.

— Gdzie pani masz dowody na to, zapytał, że jej pierwszy mąż zrobił to odkrycie? Czy dokument, który doktor Devarges dał jego siostrze, nie jest dostatecznym dowodem, że właściwie on pierwszy odkrył pokład?

— Tak, ale doktor nie żyje, a akt ja mam w ręku.

— Dobrze!

Wyjął zegarek, a potem mówił dalej.

— Mam jeszcze pięć minut czasu. Teraz uważaj pani! Nie chcę powiedzieć byś pani źle... djabelnie źle manipulowała... owszem doskonale zrobiłaś to pani!... nie chcę również powiedzieć, że pani, jeżeli zechcesz, załatwisz to bezemnie!... Pani wiesz o tem... Dalej! Nie mówię ja także, żem się wdał w tę historję nie licząc na to, że mi z tego coś przypadnie. Liczyłem na to. Ale pani musisz sobie należycie rozjaśnić, że krótko mówiąc, ponieważ oboje teraz znamy się, to czy nie byłoby lepiej, gdybyś pani tę sprawę z moją pomocą... dalej prowadziła, aniżeli byś zgłaszała się do kogo innego? Zrozumiej to pani dobrze! Pani mogłabyś znaleść w San Francisco tuzin ludzi, którzy pani równie dobre, a nawet lepsze propozycje robić będą! Ale żaden z nich nie będzie miał takiego interesu, ażeby tak jak ja, trzymać w tajemnicy pewne niemiłe ustępy z przeszłości. Rozumie pani?

Za odpowiedź pani Conroy podała mu rękę i rzekła poważnie:

— Czy przyrzekasz pan o tajemnicy mojej milczeć przed każdym.., nawet przed nim?

— Rozumie się rozumie!

Potem para łotrów uścisnęła sobie ręce w tak lojalnem i tak nieograniczonem zaufaniu, że nawet uczciwi ludzie mogliby się tem zbudować. Następnie p. Dumphy pożegnał się i poszedł na objad.

Gdy pani Conroy drzwi wchodowe zamknęła, wbiegła szybko Olly z poza werandy. Pani Conroy przyjęła ją w swe objęcia! uwolniła się od tłoczących ją uczuć i — tak się przynajmniej spodziewamy — i nadchodzącego po nich żalu, serdecznym, szczerym uściskiem. Olly jednak robiła żywe wysilenie, by się od tego uwolnić. Gdy nakoniec wyswobodziła swą główkę, powiedziała cierpko:

— Puść mnie! muszę go zobaczyć.

— Kogo?... pana Dumphy? zapytała pani Conroy, jeszcze wpół trzymając dziecko ze spazmatycznym śmiechem.

— Tak! Gab mówił, że on jest tu! Puśćże mnie!

— Czegoż ty chcesz od niego? zapytała ostrożna kobieta.

— Gab mówi... Gab mówi... puśćże mnie, mówię ci!... Gab mówi, że on zna...

— Kogo?

— Moją drogą, kochaną siostrę Grację... Tak!... przecie!... Nie chciałabym ci robić przykrości, ale muszę odejść!..

I wybiegła, pozostawiwszy posiadaczkę dwóch i pół miljonów, zmięszaną, podejrzliwą i samą.

(C. d. n.)

Kolenda.

W noc miesięczną, z piosnką wdzięczną,
Szatą i duszą biali;
Pastuszkowie, prostaczkowie,
Przy trzodce swej czuwali.

Dziwne wonie, mkną nad błonie
I dziwne blaski świecą —
A piosenki, szklanne dźwięki
Czuć jak ku niebu lecą.

Bo radośnie — jak o wiośnie,
Tak sfery drżą powietrzne,
Tak przybrała — ziemia cała
Sukienki dziś świąteczne.

Północ chyża, już się zbliża,
Czyliż jej wielkość czują?
Że z wzruszeniem, z takiem drżeniem,
W niebiosa się wpatrują?

Nocną ciszą — ją usłyszą
Najpierwsi — już uderza!...
Już się w dali błękit pali,
I ćmiący blask rozszerza.

A przed niemi, z śrebrzystemi
Skrzydły — co z ramion wiały,
Jak woń kwiatu, z nieb bławatu
Wypłynął anioł biały!

„Wstańcie mili! Wam w tej chwili
Jutrznia wieczności świta!
Niech wasz prości, dzięk miłości
Najpierwszy Zbawcę wita!

Z Marji cichej — w stajni lichej,
Boskie się oto dziecię
W żłobku rodzi! — Dla was schodzi
W pracy i bolu życie!

Nad promienną, słodką, senną,
Dziecięcą jego głową —
Już tam czarny, krzyż ofiarny
Z koroną tkwi cierniową!

A on święty, uśmiechnięty,
Topi w nią wzrok weselny...
Bo z tych cierni, na was wierni
Blask spływa nieśmiertelny!

Winy ziemi, On świętemi
Obmyje krwią i łzami;
A zagości, u was prości
I żywot spędzi z wami.

Bo wy biedni, tylko jedni
Z mętnej zepsucia fali
Wypłynęli — i serc bieli
W jej mętach nie skalali."

Lica zbladły i łzy spadły
Pastuszkom z óczu w milczeniu;
Padli czołem przed aniołem,
W świętej trwogi zdumieniu.

A po chwili już dążyli
Gdzie niebiańskie nadzieje;
Gdzie jutrzenką nad stajenką
Złota gwiazda jaśnieje!

I widzieli, jak weseli
Ziemia się w koło cała;
I słyszeli, jak anieli
Nucą mu: Chwała! chwała!

Lecz najpierwsi, i najszczersi
Dziękczynienia mu słali:
Pastuszkowie, prostaczkowie,
Szatą i duszą biali.

Lwów 1876 *Marja B*

Listy ze świata.

Paryż — Listopad 1876.

W chwalebnej intencji obznajomienia publiczności tutejszej z życiem, historją i literaturą dalekich plemion, przeglądy i dzienniki francuskie przepełniają się nieraz stekiem artykułów, podejrzanego pochodzenia, przedstawiających wyżej wymienione przedmioty z większą pewnością siebie, niżli z głębokiem wystudjowaniem rzeczy. W liczbie tych ostatnich spotkaliśmy niedawno w *Revue des deux mondes* monografję p. Emila Durand „O Szewczence, narodowym małoruskim śpiewaku," która to monografja, dość zgrabnie zresztą napisana, mieści w sobie niektóre uwagi i spostrzeżenia zbyt uprzedzone i jednostronnym nacechowane wpływem, by mogły z koła pokrzywdzonych ich treścią (a są nimi naturalnie Polacy) żadnego nie wywołać protestu.

List więc niniejszy, ostatni z listów letnich, poświęcimy rozbiorowi wspomnianej pracy, wytknięciu w niej tego, co według nas z istotną prawdą i z istotną mija się słusznością.

Kując, że tak powiemy, piedestał dla swego posągu; wykazując czytelnikom moralne znaczenie Szewczenki, źródła, z których poeta ten czerpał gorycz tryskającą często z najpiękniejszych strof jego utworów, p. Emil Durand zaczyna od pobieżnego zarysu dziejów Kozaczyzny, Siczy, Zaporoża, i doszedłszy w ich opowiadaniu do buntu Chmielnickiego, całym gradem potępień ciska na Polskę fanatyczną, tyrańską i prześladowniczą, a całą skarbnicą absolucji obsypuje pamięć wielkiego patrjoty Chmielnickiego, który według słów autora, chroniąc ojczyznę swoją przed ciemięstwem Lachów, schronił ją pod opiekuńcze skrzydła Moskali.

Za pozwoleniem, szanowny monografisto! ale kiedy już mowa o źródłach, to radzibyśmy widzieć te, z których pióro jego tak absolutnie zaczerpnęło wywody. Trącą one dla nas urzędową moskiewską historją Ustrjałow'a, która jakkolwiek przyjęta za podręcznik szkolny przez cesarsko-rossyjskie ministerjum oświaty, pomimo to wcale za arcywzór bezstronności nie uchodzi i uchodzić nie może.

Qui n'entend qu'une cloche n'entend qu'un son mądre i godne uwagi powiada przysłowie.

„Prześladownicza, tyrańska Polska!" Zarzut to nie lada wagi i zasługuje na bliższe ocenienie.

Prześladowanie może być i bywa trojakiego rodzaju: 1) Narodowościowe, jednej rasy, jednego plemienia przez drugie; 2) Socjalne, jednej kasty społecznej względem innych i 3) Religijne, które nie potrzebuje tłumaczenia.

Zobaczmy zatem naprzód, czy Polska splamiła się prześladowaniem narodowości, aczkolwiek pobratymczych, lecz niejednoplemiennych, a berłu jej poddanych przez długie stulecia? Nie szukając dalej, w kilku faktach znalezionych na prędce a tak pewnych, że im nawet stronne rossyjskie nie zaprzeczają podręczniki, absolutnie przeczącą spotykamy odpowiedź.

Reskrypta królewskie, akta urzędowe, dotyczące Rusi, redagowane długo w rusińskiem narzeczu; najświetniejsze imiona magnaterji polskiej jak Wiśniowieckich, Zborowskich itd. figurujące w szeregach Zaporoża; najświetniejsze wojenne wyprawy kozactwa, aż pod sam Carogród, datujące właśnie z czasów najsilniej utrwalonej polskiej dominacji; wszystko to udowadnia aż nadto dostatecznie, że społeczeństwo było dość toleranckie, by uszanować język i swobody podwładnych mu plemion, by najwyżej postawionych synów swoich w wolno zaciążnych szeregach tychże plemion, na dalekie z niemi posyłać wyprawy, a więc społeczeństwo takie nie zasługuje, by je piętnowano nazwą prześladowcy i tyrana. Sąd o tem zostawiamy głębszemu zastanowieniu się samegoż p. Durand. Z kolei prześladowanie socjalne:

Nie przeczę, że takowe, wspólne wszystkim bez wyjątku krajom w owej epoce, musiało mieć miejsce i w Polsce, lecz nie względem tylko wolnego kozactwa, ale względem przykutych do gleby włościan-rolników, nie wyłącznie na Rusi, lecz tak dobrze pod Warszawą jak pod murami Kijowa. Ależ na Boga! Wielki „patrjota" Chmielnicki uciekał przed deszczem chyba pod rynwę, myśląc że na tamtej stronie Dniepru łaskawsze w tym kierunku dla ziomków swoich użyszcze kondycje. Dowiodła omyłki wnukom jego cesarzowa Katarzyna II, w 1775 r. wprowadzając poddaństwo i pańszczyznę tam nawet, kędy ich nigdy nie było, za czasów owej straszliwej, polskiej przemocy. Po dziś dzień w części Bułgarji, zwanej Dobruczą, żyją potomkowie tych wolnych Zaporożców, którzy uciekając wtedy przed jarzmem poddaństwa, aż pod opiekę zaciętego swego niegdyś wroga, pod opiekę muzułmańskiego schronili się pół-księżyca. Można przypuszczać śmiało, iż okrutna owa tyranja „Lachów" nigdyby ich może do takiej nie popchnęła ostateczności. I temu także stronne rossyjskie nie zaprzeczą źródła.

Zostaje więc trzecie prześladowanie, religijne. Co do tego (jednego z licznych upominków Jezuityzmu), to musimy się przyznać z wstydem i pokorą. Istniało ono bowiem rzeczywiście, istniało od wstąpienia na tron Polski dynastji Wazów, trwało za długo i z istotną szkodą obydwóch plemion, stworzonych, by żyć w zgodzie. Ależ p. Emil Durand, srogie za nie klątwy na pokutującą rzucając Polskę, zapomniał chyba o swym charakterze Francuza, zapomniał o dziejach własnej ojczyzny, które nam prawie w tej samej epoce przedstawiają z jednej strony noc Bartłomiejową, z drugiej (prawie jednocześnie) odwołanie edyktu Nantejskiego i sławne Ludwika XIV „Dragonady." Wprawdzie upiekło się to wszystko Francji nie mającej wówczas groźnych sąsiadów, ależ to jeszcze nie racja, by naród takie na przeszłości swej noszący plamy, ciskał kamieniem narodowi innemu, nie mniej może winnemu, który jednak winy swoje zmazał srogą, bo stuletnią pokutą.

Gdyby Emil Durand przed napisaniem swej monografji, więcej się był obliczył z sumieniem, i chciał przez chwilę, jakto na rzetelnego historyka przystało, w odległe czasy sięgając myślą, o dzisiejszego narodu swego zapomnieć polityce; praca jego zyskałaby na tem nieskończenie, i nie obrażając nikogo byłaby nie pamfletem pseudo-politycznym, jakim jest obecnie, lecz kartką poczciwą i pożyteczną dziejów literatury.

Nic łatwiejszego jak urazić kogoś, zwłaszcza tych, którzy, jak Polacy, rozporządzają tak słabemi środkami obrony. Le coup de pied de l'âne est bien vite donné, mais ne foit honneur à personne.

Lecz wróćmy do Szewczenki.

Gorycz tryskająca z najpiękniejszych strof jego utworów, wiele rozlicznych miała źródeł i nie szukać ich wyłącznie w bolesnem wspomnieniu klęsk ojczyzny. Życie poety spłynęło nie na różach; osobistych jego cierniów i dolegliwości, starczyło na przepełnienie jadem nawet mniej wrażliwego serca niż to, które kołatało w piersiach śpiewaka. Syn biednego chłopa z okolic, zda się nam Koniowa, osierocony niemowlęciem przez matkę, prześladowany przez brutalną macochę, przyszły zaszczyt Ukrainy nie znał nawet chwilek szczęśliwego dziecięctwa, i zaledwie odrósł od ziemi, już się zapoznał z niedolą, tą wierną towarzyszką całej swej egzystencji. Boso w obdartej koszulinie, pasąc owce lub cielęta, sam jeden jak palec, nieraz dni całe spędzający na starym kurhanie, wśród głuchego stepu, za powrotem do chaty, często biciem karmiony, biedny sierota od wstępu na świat zaraz zaczął pobierać złe lekcje miłości. Pół biedy jeszcze, dopóki spała w nim dusza, dopóki na pozór nic go nie odróżniało od wdrożonych w podobną dolę rówieśników. Lecz gdy przyszła chwila przeźnięcia, gdy genjusz mający jego skroń uwieńczyć kiedyś

świetną aureolą, pierwszą w głębiach mózgu dzieciny, tlić się zaczął iskierką. Co za walka! Mocny Boże! między żądzą kształcenia się a zupełnem tego niepodobieństwem, między polotem poczuwającej się do czegoś lepszego myśli chłopaka, a przykuwającym ją do ziemi realizmem codziennego żywota!

Nie mamy zamiaru powtarzać tu całej smętnej, pełnej łez i katusz biografji, dla udowodnienia jednak tego co dowieść pragniemy, nie sposób nam przynajmniej kilku głównych nie podkreślić szczegółów. (C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

(Codex diplomaticus monasterii Tynecensis. Kodeks dyplomatyczny klasztoru tynieckiego. Z polecenia i nakładem Zakładu narodowego imienia Ossolińskich wydali Dr. Wojciech Kętrzyński i Dr. Stanisław Smolka. We Lwowie 1875 (właściwie 1876) str. XLI. 183. XXIX. 185 — 561. Indeks opracował Dr. Aleksander Hirschberg. Str. LXIX. 6 nieliczbowanych)

Kiedy w r. 1871 wyszedł wydany przez Skrzydelkę kodeks tyniecki, ukazała się w czasopismie warszawskiem „Niwa“ później także w osobnej odbitce recenzja Dr. Wincentego Zakrzewskiego, odsądzająca wydanie to od wszelkiej naukowej wartości. Wskutek tego poleciła kuratorja Zakładu nar. im. Ossolińskich ponowne opracowanie swym urzędnikom pp. Kętrzyńskiemu i Smolce. Praca nad tym kodeksem była o tyle trudniejszą, niż praca nad innemi kodeksami, że kilkanaście tylko oryginalnych dyplomatów tynieckich ocalało w czasie pożaru gmachu uniwersyteckiego w r. 1848. Aby dzieje zbiorów tynieckich czytelnikom opowiedzieć, udajemy się do obszernej przedmowy p. Kętrzyńskiego, z której wyjmujemy następujące daty.

Benedektyński klasztor w Tyńcu jest jednym z pierwszych klasztorów w Polsce; założony w latach 986 — 988 za panowania Mieczysława I. odgrywał nie małą rolę w pierwotnych dziejach Polski. W dziejach politycznych Polski już od 14 wieku spotykamy opatów klasztoru tego rzadko kiedy u dworu, nie odgrywają oni później żadnej politycznej roli, nie jest to wyjątkowe położenie opatów tynieckich, i opaci innych klasztorów nie odgrywali większej roli w dziejach naszych. Dlaczego? Oto pytanie, nad którem przyszli dziejopisowie zakonów zastanowić się powinni. Rola też klasztoru staje się odtąd czysto, że tak powiemy, lokalną. Klasztor tyniecki położony w tej części Polski, która najmniej na napady nieprzyjacielskie była narażoną, przetrwał aż do upadku kraju. Dopiero z nim rozpoczęły się klęski dla klasztoru; zabranie posiadłości na fundusz religijny r. 1786 i niepokoje w czasie wojen napoleońskich, wystraszyły z klasztoru Benedyktynów, który teraz 1826 zajęli OO. Jezuici. Nareszcie pożar 3. Maja 1831 dokonał resztki zniszczenia. Burzliwe losy ostatnich lat klasztoru wpłynęły także na bibljotekę i archiwum klasztorne: bibljoteka w r. 1819 a archiwum w r. 1827 wcielone zostały do bibljoteki uniwersytetu lwowskiego. W owym to czasie liczyło archiwum tynieckie przeszło *cztery tysiące* dyplomatów! Aby zabytki te drukiem ogłosić, odpisywał je Aleksander Batowski, a ułożony tym sposobem kodeks oczekiwał nakładcy, gdy tymczasem 2 listopada 1848 przy bombardowaniu gmachu uniwersyteckiego zgorzało do szczętu całe archiwum tynieckie... Batowski, którego niezmordowanej pracy zawdzięczamy choć częściowe uratowanie tych nieoszacowanych zabytków, za mało był paleografem, to też na odpisy jego nie zawsze można się spuścić. Jak mówiliśmy wyżej, kilka zaledwie oryginałów ocalało, dlatego praca wydawcy niezmiernie została utrudnioną, bo dyplomaty trzeba było wydawać częścią z odpisów Batowskiego, częścią z dawniejszych kopijarjuszów klasztoru, co jak wiadomo utrudnia opracowanie, gdyż wydawcy pozostaje tylko wewnętrzna krytyka dyplomatów do dyspozycji. Mimo tego utrudnienia wywiązali się wydawcy z owego zadania chlubnie; jest to podobno pierwszy u nas kodeks w którym dyplomatyczna krytyka znalazła szersze zastosowanie.

(C. d. n.)

Pogadanki.

XVI.

Zima tegoroczna, jak dwie krople, albo raczej jak dwa cebry wody, pazypomina zimę z r. 1862 na 1863. To samo wiosenno-jesienne powietrze, to samo ołowiane niebo, to samo błoto, i ten sam w umysłach niepokój, wróżący wielkie zdarzenia. Nadaremnie meteorologowie tłumaczą nam, że wskutek depresyj barometru tu i owdzie ocean Atlantycki z wiatrem zachodnim szle nam swoje mgły i ciepłowilgotne prądy powietrza; mgły i wiatry swoją drogą, a swoją drogą trudno oprzeć się przeczuciu, że „coś się stanie,“ i to coś nadzwyczajnego, nie corocznego...

Czas też w istocie, ażeby się „coś stało,“ zwłaszcza gdy stało się dotychczas tyle złego, że prawdopodobnie los wyczerpał już na nas cały zapas swojej złości i chcąc niechcąc, jeżeli nam przyniesie jaką zmianę, to chyba zmianę na lepsze. Takiej też zmiany życzy *Tydzień* przy opłatku łaskawym swoim Czytelnikom, i sobie.

* * *

Bądź co bądź, nastała dla nas pora nietylko nieokreślonych przeczuć, także nieokreślonego mnóstwa koncertów, gołoledzi, wieczorków, egzekucyj podatkowych i innych fatalności bądź dyletanckich, bądź urzędowych. Referenci dzienników toczą rozpaczliwy bój z gramatyką i składnią polską, donosząc to o „upragnionem“ przybyciu jakiegoś mistrza, druzgocącego najsilniejsze fortepjany, to znowu o niemniej wstrząsających wypadkach potłuczenia się z powodu ślizgawicy na chodnikach. Wszystko to atoli jest tak zwykłem w czasie adwentu, że najpiękniejsze ćwiczenia stylistyczne na punkcie muzykalnej i brzęczącej, jakoteż wokalnej i jęczącej muzyki nie sprawiają nikomu emocji. Powieszenie Francesconiego w Wiedniu, *à la bonne heure*, to co innego. Słyszałem gniewających się na pisma polskie, że powodowane wstrętem, nie dały dość wyczerpujących opisów egzekucji. Niektóre panie, pragnące „wrażeń“, postanowiły nawet uczyć się po niemiecku, ażeby mogły w podobnych wypadkach roskoszować się w obszernych sprawozdaniach *Tagblattu* i *Extrablattu* wiedeńskiego. W Wiedniu ten szał opanował płeć piękną do takiego stopnia, że bodaj czy nie przyczynił się do zatwierdzenia wyroku śmierci. Skazany rozbójnik otrzymywał tuzinami listy pełne sympatji od nieznajomych wielbicielek interesującej jego powierzchowności, a oprócz tej moralnej pociechy nie szczędzono mu i materjalnej, w formie przysmaków i przedmiotów, służących do wygody i uprzyjemnienia pobytu w celi więziennej. W takich warunkach ułaskawienie, którego się można było spodziewać, byłoby było niejako premją dla dystyngowanych złoczyńców, i dla tego też nie nastąpiło wcale.

Gdy już wiedziano na pewne, że delikwent będzie straconym, cały ten zastęp piękności, które zajmowały się jego losem, począł żałować podwójnie, że dotychczas nie udało się jeszcze przeprowadzić zupełnej „emancypacji“ kobiet. Niegrzeczna ustawa austryjacka dopuszcza do widoku egzekucji, odbywającej się na podwórzu więziennem, oprócz osób urzędowych, wyraźnie tylko pewną liczbę *„achtbare Männer“*. Prawodawca wychodził z tej zasady, że nie jest to i nie powinien być spektakl dla kobiet, ani też spektakl w ogóle. Postanowienie to zapobiedz ma zdziczeniu obyczajów i uczuć, które musi być wielkiem w stolicy monarchji austryjackiej, jeżeli sąd musiał aż oszańcować się nieprzebytym murem paragrafów, ażeby się oprzeć naleganiom o karty wstępu dla kobiet. Ale jeżeli mówią, że „dla złodzieja nie ma zamku“, to pokazało się, że nie ma muru dla sprytu niewieściego. Żona pewnego bankiera wyczerpawszy bezskutecznie wszystkie sposoby, skonfiskowała pozwolenie wstępu, udzielone przez prezydenta sądu jej mężowi, i posiadając w swojej garderobie aż cztery garnitury męskie — jak zapewnia *Sonn und Feiertags Zeitung* — przebrana w jeden z tych garniturów dostała się na miejsce egzekucji i połykała chciwym wzrokiem wszystkie szczegóły strasznej egzekucji. Odegrała zresztą z takiem powodzeniem rolę zahartowanego na podobne okropności mężczyzny, że dopiero wsiadłszy do powozu przypomniała sobie, iż wypada jej płakać i zemdleć, co też natychmiast wykonała.

Komentarze do podobnych faktów byłyby ponoś zbytecznemi — możnaby chyba tylko pochwalić prawodawcę, iż miał wyższe od takich pań pojęcie o tem, czem kobieta być powinna, i wyrazić życzenie, by rygor podobny rozciągnięto także na salę rozpraw sądowych. Niektórzy pesymiści twierdzą, że ów ideał kobiety, który uwielbiamy i szanujemy, nie istnieje wcale w naturze, i że wyrabia go dopiero z surowego w gruncie i dzikiego materjału cała suma obyczajów naszych, wyobrażeń urobionych w społeczeństwie i apryorycznie wpajanych w każde dorastające pokolenie. W tem przesadnem twierdzeniu jest, odrobina prawdy, nie da się bowiem zaprzeczyć, że nasza płeć słaba wielką część wad i zalet swoich zawdzięcza nietyle wrodzonym popędom, ile raczej pojęciom przeważającym w społeczeństwie. Nie byłaby w połowie tak łagodną, tak czułą i tkliwą, gdyby nie przyjęte ogólnie zdania, że taką być powinna. Skoro znajdują się kobiety, które mniemają, że mogą obejść się bez tych przymiotów, to mądry prawodawca w imieniu społeczeństwa powinien im w tylu a tylu paragrafach przypomnieć, jakiemi być, albo przynajmniej wydawać się powinne.

* * *

Chorobliwe objawy, do których dał powód wyżwymieniony wypadek sądowy, mają swoje źródło aż nadto widoczne w kierunku, jaki przybrala prasa perjodyczna niemiecka, karmiąc swoich czytelników okropieństwami beletrystycznemi i kronikarskiemi. U nas funkcję tę pełni *Gazeta Lwowska*, której drobne wiadomości przepełnione są doniesieniami o samych tylko ujemnych zja-

wiskach w życiu społecznem i narodowem. Samobójstwa, morderstwa, kradzieże, podpalania i oszustwa, oto cały repertoar urzędowych doniesień ze stolicy i z kraju, jak gdyby już nic a nic dobrego i uczciwego się nie działo, lub jak gdyby to co dobre i uczciwe, nie zasługiwało na uwagę. Publiczność karmiona samą kryminalistyką oswaja się z takiemi scenami i poczyna się w nich lubować; z czasem, sprawozdania o dodatnich objawach ruchu społecznego wydają się jej nudnemi i mało zajmującemi, i usiłowania w tym kierunku nie znajdują poparcia. Ale na tem właśnie polega cel propagandy tego rodzaju, jest to powoli działająca, lecz niezawodna trucizna, zadawana narodowi, wnikająca w rodziny, w kąsku mającym wszelkie zewnętrzne pozory zdrowej, domowej, swojskiej potrawy.

Jan Lam.

Wzrost i rozwój armij stałych w Europie.

Napisał

LEOPOLD WINKLER.

(*Ciąg dalszy.*)

Hetman polski Żółkiewski, posiadając zaledwie 9,000 rycerstwa, samej tylko prawie konnicy, opierał się na Mołdawji i Wołoszczyźnie przez kilkanaście dni armji tureckiej, blisko 200,000 ludzi liczącej, wreszcie zmuszony, stoczył walną bitwę na polach cecorskich, w której zginął bohatersko ze wszystkiem prawie rycerstwem, lecz zostawił Zygmuntowi III czas do zebrania 30,000 wojska, które pod dowództwem wielkiego hetmana Chodkiewicza stawiło czoło połączonej potędze Turków i Tatarów pod Chocimem. Liczba wojsk turecko-tatarskich wynosiła przeszło 300,000 ludzi. Wojna Chocimska trwała kilka tygodni. Liczba Turków i Tatarów zmniejszyła się do $^1/_3$ pierwiastkowej swej potęgi. Upadli na duchu, a zmęczeni wojną, odstąpili od oblężenia Chocima i opuścili ziemie polskie.

W tej epoce Henryk IV żywił w umyśle swym wielkie projekta, lecz śmierć nagła nie dozwoliła mu ich urzeczywistnić. Henryk IV miał zamiary upokorzyć naraz obie gałęzi domu austryjackiego, to jest niemiecką i hiszpańską. W tych widokach, zrealizowanych dopiero w czasach późniejszych, w znacznej części, przez kardynałów Richelieu i Mazarin, oraz przez króla Ludwika XIV, Henryk IV wszedł w przymierze z Wenecją, Papieżem, Toskanją, Sabaudją i ze wszystkiemi państwami protestanckiemi w Europie.

Pamiętniki Sullego wspominają, że wszystkie te państwa zobowiązały się dostarczyć mu zaledwie 128,000 piechoty, 17,000 konnicy i 108 dział polowych.

Poczynając od roku 1620 Ludwik XIII stopniowo powiększał siły wojskowe francuskie. W 1635 roku takowe składały się z pięciu armij, których cyfra ogólna wynosiła 100,000 ludzi, a w tej liczbie 18,000 kawalerzystów. Liczba ta była utrzymywana aż do roku 1648, czyli do czasów zawarcia traktatu w Münster. Ażeby ją utrzymać, używano niekiedy nawet środków ostatecznych.

Gorące chęci poniżenia domów niemieckiego i hiszpańskiego, które skłoniły Henryka IV do powiększenia liczby wojska aż do 50,000, a Ludwika XIII do podwojenia tej liczby, doprowadziły Ludwika XIV w roku 1668 do wystawienia siły, wynoszącej najpierw 131,000 ludzi, a w roku 1672 do 170,000, w samych początkach wojny przeciw Holandji.

Ludwik XIV żywił w sobie ambicję niepowściągliwą, którą zdradził w słowach wypowiedzianych do marszałka de Villars: „Sagrandir est la plus digne et la plus agréable occauption d'un souverain". „Pierwszą myślą jego, jak twierdzi Henryk Martin, było uważać traktat pyrenejski jako punkt wyjścia przeciw rozszerzaniu się monarchji hiszpańskiej".

Ażeby zamiary swe do skutku doprowadzić, Ludwik XIV gotów był wszystko poświęcić; nie zatrzymał się nawet i wtenczas, gdy ujrzał Francją zrujnowaną i wystawioną na wielkie niebezpieczeństwo.

Francja zagrożona, z powodu błędów Ludwika XIV, koalicją całej Europy, zmuszona była siły swe wojskowe powiększyć w miarę, jak liczba jej nieprzyjaciół coraz się pomnażała.

Pod koniec wojny z Holandją, około roku 1697, armja francuska dosięgnęła liczby 396,000 ludzi.

Podobne siły wystawiła Francja w czasie wojny, znanej w historji jako wojna o sukcesję, trwającej od r. 1701 do 1713.

Wojny, nieumiarkowanie prowadzone przez Ludwika XIV, doprowadziły Francję do zupełnego zniszczenia. Ludność ogromnie się zmniejszyła, kredyt upadł prawie zupełnie, coraz częstsze zamieszki powstawały pomiędzy ludnością niezadowoloną, żyjącą prawie w ostatniej nędzy. W armji panowało również wielkie niezadowolenie i zaczęła się wkradać demoralizacja. Fabryki stały zamknięte, z powodu braku robotników, a żebractwo roiło się po ulicach miast Niektóre wsie były zupełnie bezludne, a ziemia leżała odłogiem. Brak bydła dawał się uczuwać coraz większy. Domy w miastach zamieniły się w ruiny. Zdawało się, że chyba już Francja monarchiczna skończy życie lada chwila ze swoim monarchą.

Stary król Ludwik XIV, który uporczywie odrzucał był mądre rady Colberta i Vaubana, uznał błędy swe w ostatniej godzinie życia, odzywając się do następcy tronu francuskiego: „Zanadto lubowałem się w wojnie; w tem mnie nie naśladuj, jak również strzeż się wielkich wydatków, jakie ja nieoględnie czyniłem".

Czy Ludwik XIV, rzucając się w szalone swe przedsięwzięcia, podniósł przynajmniej sztukę wojskową? Tego mu bynajmniej kompetentni nie przyznają. Administracja również, podług pamiętników marszałka de Villars, była bardzo nędzną. Widziano żołnierzy sprzedających nawet swoje karabiny w obawie śmierci z głodu. Ani ubrania odpowiedniego, ani prowizji, ani broni!

Jak wielką przewagę miały na początku ośmnastego wieku wojska regularne, wyćwiczone, choć liczbą niewielkie, lecz dobrze prowadzone, nieh dowodem tego będzie ta ogromna wojna północna, której głównymi bohaterami są: Karol XII i Piotr Wielki.

Karol XII, w ciągu bardzo krótkiego czasu, mając zaledwie tylko 30,000 wojska, pobił koalicję zawiązaną przeciw niemu, złożoną z Fryderyka króla duńskiego, Augusta II króla polskiego oraz elektora saskiego i Piotra Wielkiego

Siły sprzymierzonych wynosiły 120,000 ludzi, lecz Karol XII nie pozwolił im łączyć się do wspólnego przeciw sobie działania i, szybki jak błyskawica, pobił stanowczo najpierw króla duńskiego, potem cesarza Piotra, a następnie całemi siłami uderzył na Augusta II, którego pobiwszy zupełnie i zniszczywszy do szczętu Saksonję, traktatem altranstadskim zmusił do zrzeczenia się tytułu króla polskiego, a na tron polski wprowadził wojewodę poznańskiego Stanisława Leszczyńskiego. Następnie, dowiedziawszy się, że car Piotr nową armję przeciw niemu zorganizował, ruszył przeciw niej, i rozpoczął nową z Rossją kampanję, z początku od nowych tryumfów. Lecz Piotr Wielki posiadał wielkiego ducha i miał charakter żelazny, a wytrwałość nieugiętą. Bity przez bohaterskiego swego przeciwnika, uznawał w nim mistrza i od niego walczyć, a następnie pobić nieprzyjaciela sam się nauczył. Bitwa pod Połtawą 1709 r., w której Piotr I, walcząc prawie z siłami równemi siłom Karola XII, odniósł świetne nad Szwedami zwycięstwo, położyła koniec potędze lwa północnego Karola XII, i otworzyła nową epokę w północno- wschodniej Europie. Potęga szwedzka upadła, a turecka i polska zaczęły również odtąd chylić się coraz bardziej do upadku politycznego. Natomiast potęga państwa rossyjskiego wznosi się, i odtąd gabinet nowej stolicy rossyjskiej, to jest petersburgski, rozpoczyna odegrywać przeważną rolę w sprawach północno-wschodnich, a' występuje z czynną interwencją w sprawach, dotyczących środkowej i zachodniej Europy.

W czasie wojny siedmioletniej siła armji francuskiej dochodziła do 330,000 ludzi, nie licząc w to 7,000 milicji miejskiej, zorganizowanej do służby wewnętrznej.

Rossja, Prusy, Austrja, w tej epoce liczyły razem 700,000 żołnierzy. Siły Holandji doszły do 40,000, angielskie zaś do 45,800.

W 1792 roku Francja zagrożona przez 300,000 Prusaków, Anglików, Saksonów, Hanowerczyków, Holendrów, Hiszpanów i Piemontczyków, zaledwie mogła się zdobyć na wystawienie 220,000 ludzi do obrony przed najazdem skoalizowanej przeciw sobie całej prawie Europy.

Podług opisu Servan'a Francja w chwili, gdy ta koliacja wypowiedziała jej wojnę, liczyła zaledwie 130,000 wojska oprócz bardzo słabej artylerji.

Podług Jomini'ego, Austrja w 1792 roku liczyła 240,000 wojska, Prusy 160,000, państwa niemieckie do 80,000, Holandja 45,000, Anglja mogła dostarczyć koalicji tylko 30,000 ludzi, Piemont 30,000 a Hiszpanja 140,000 ludzi. To wszystko czyniło razem 725,000 wojska

W tak groźnem znajdując się położeniu, zgromadzenie prawodawcze zadecydowało, że siła armji podnosi się do 450,000 ludzi za pośrednictwem przyjmowania do szeregów ochotników, a 16 sierpnia 1793 roku konwencja narodowa ogłosiła pospolite ruszenie w masie, wynoszącej 300,000 ludzi. (C. d. n.)

Wigilja Bożego Narodzenia.

Nowelka.

Szósta godzina wybiła — dzwonek dał znak spoczynku — wielkie koła maszyn zatrzymały się w ruchu i z wnętrza fabryki oświetlonej ogniskami kuźni, wysypał się rój osmolonych robotników i rozprószył się w ulicach i zaułkach.

Jeden z nich zatrzymał się przy sklepiku wiktuałów, kupił bochenek białego chleba, parę śledzi i poszedł z tem do jednego domu stojącego na końcu ulicy. Nazywał się dom, a była to właściwie rudera, zamieszkała przez ubogich ludzi. Robotnik, idąc do siebie, spojrzał mimochodem

w okno stróża i zobaczył go z żoną i dziećmi siedzącego koło stołu przy wieczerzy. — Jakiś czas przypatrywał się temu — w tem coś mokrego, ciepłego spadło mu na rękę, w której trzymał śledzie. Wzdrygnął się i spojrzał z przestrachem na rękę i spostrzegł, że to była łza, która z jego własnych oczu się stoczyła. Tak się zapatrzył na rodzinę stróża siedzącą koło wspólnego stołu, iż nie uważał, że mu ten widok łzy wycisnął z oczu.— Bo i on miał rodzinę w Warszawie, która w tej chwili pewnie siadała do stołu razem z gwiazdą wieczorną i łamała się opłatkiem, a on nie łamał się z nią już lat trzynaście i wrócić nie mógł tam, gdzie serce się rwało.

Otarł z łez oczy i poszedł ku oficynom, i po ciemnych wąskich schodach dostał się do swego mieszkania na poddasze. Gdy się zbliżał do drzwi, jakiś ruch dał się słyszeć w jego izdebce, coś zaczęło skomleć, to był *Azor*, jego pies, który, gdy otworzono drzwi, rzucił się do swego pana i skakał koło niego i tulił się koło nogi, tłukąc z radości ogonem po ziemi.— Robotnik pogłaskał go po kudłach, uspokoił, a potem usiadł na tapczanie pod oknem i dzielił się z nim chlebem i śledziem. Świeca wydawała mu się zapewne zbyteczną, bo jej nie zaświecał, może dla tego, że nie miał, a może wolał srebrny, blask księżyca, który z za komina wyjrzał i oświetlał okienko izby, a na tle tej jasności widać było kudłatego psa nędznego na tylnych łapach, i ciemne ręce wyrobnika, trzymające chleb i poruszające się to ku ustom, to do psa. — Wreszcie opadły spokojnie na kolana z niedojedzonym chlebem, bo jedzący zamyślił się i zapomniał o jedzeniu. Być może, iż chętnie oddałby ten chleb za kawałek opłatka z Warszawy, posiliłby nim duszę, która była głodna dobrych słów. — Nie miał nikogo, tylko psa, a pies mówić nie umiał. W rozumnych jego oczach widział współczucie, był przekonany, że pies rozumie jego cierpienie, ale nie miał słów pociechy dla niego.

Wtem przyszła mu na myśl legenda, którą mu piastunka mówiła o zwierzętach gadających w wigilję Bożego narodzenia, o jakichś wołach co przemówiły. Myśl puszczona w świat ludowych urojeń szła sobie luzem, jak pacholę przez las, błądziła bez celu, aż zmęczona, znużona usnęła.

I śniło mu się, że słyszy kolendę w kościele o północy, że widzi rodzinę swoją idącą przy świetle latarń do kościoła; — wołał za nią, ale nikt nie słyszał, nie obejrzał się. Spostrzegł się, że słyszeć nie mogą, bo był od nich setkami mil oddalony i pomyślał sobie z boleścią: czy ja ich też kiedy zobaczę jeszcze? — czy wrócę do nich?— Wtem dzwon wybił dwunastą — coś koło niego ruszyło się pod nogami, spojrzał to był *Azor*.

Stał przed nim przysiadłszy na tylnych łapach, oczy miał zwrócone ku niemu, otworzył szeroko pysk i z gardła jego wyszedł jakiś ludzki przytłumiony głos, i powiedział mu cicho: wrócisz.

Radość wstrząsła nim gwałtownie i wstrząśnienie to obudziło go. — Przetarł oczy i spojrzał. *Azor* siedział przed nim rzeczywiście na tylnych łapach, jak we śnie, i tak samo patrzał na niego, a wzrok ten zdawał się mówić mu jeszcze: wrócisz...

Robotnik pochwycił psa w objęcie i tulił i całował z radości, jak przyjaciela.

M. B.

NINA.

Obrazek z życia

przez

ZOFJĘ R.

(Ciąg dalszy.)

Juljusz pod gorącemi słowami Niny, w uścisku jej, odzyskał siły. Powstał z ziemi i ją podniósł, a głosem słabym jeszcze, ale z mocą powiedział:

— Wydałaś Nino! wyrok na mnie, po tem wyznaniu dłużej już tu zostać nie mogę, jutro opuszczę wasz dom!

Ona odstępując o krok i załamując ręce z rozpaczą:

— O ja nieszczęsna! zawołała, ty mną pogardzasz!

Juljusz nie miał siły oprzeć się gorącym wyrazom i namiętnym uściskom, rozpaczy i łzom płynącym po zbladłej twarzy, nie znalazł jej, pękła jak stal pod silnym naciskiem! Rzucił się na kolana przed nią, całował jej ręce, i wypowiedział całą miłość, wszystkie walki i smutki które go gniotły.

I tak, szlachetną walkę, zacne postanowienia, jedna ta chwila rozbiła w niwecz! Pokazały się tak kruchemi i wątłemi, jak wszystko co ludzkie!

Usłyszeli tentent koni i turkot powozów.

Nina dosiadła Ledy, która jak posłuszne dziecię, stała w miejscu na którem ją pani jej zostawiła. Pospieszyła naprzeciw towarzystwa, spotkała je wkrótce, zatrzymała pierwszy powóz, w którym jechała gospodyni. Opowiedziała w krótkich słowach przygodę swego towarzysza, niewspominając o zemdleniu, a tylko mówiąc, że koń z nim upadł i ciężarem swoim przygniótł silnie, i prosząc, aby powóz zatrzymał się, i pozbawionego możności dostania się do domu, pani Ludwikowa łaskawie zabrała. Rzecz była bardzo naturalna, i Juljusz w powozie gospodyni powrócił z wycieczki. Pani Ludwikowa zauważała, że jest mocno cierpiący, i istotnie cierpiał niewypowiedzianie, ale cierpienia moralne tak przenosiły fizyczne, iż o tych zupełnie zapomniał! Dokuczał mu tylko silny ból głowy.

O godzinie 11 w rzęsisto oświetlonych salonach, zebrało się już całe towarzystwo, świetnie po balowemu przystrojone. Nina weszła wsparta na ramieniu męża, w pysznej toalecie, lecz osłoniona czarnym koronkowym szalem. Otoczył ją rój tancerzy zamawiając do różnych tańców, lecz ona odmówiła, wprost mówiąc, iż czuje lekki ból głowy z powodu przestrachu, jakiego ją nabawił wypadek jej towarzysza.

Konstanty wiedząc, jak żona lubi taniec, namawiał trochę, iż może by jej lepiej było na głowę, lecz zaprzeczyła temu i nie tańcowała. Usiadła między starszemi paniami. Juljusz odjechał do domu.

Pani Hortenzja czatowała na Konstantego. Po północy udało się jej złowić go w przechodzie z salonu do salonu. Zatrzymała go we drzwiach. Zaatakowała rozmową, grzeczność kazała zostać, chociaż nie lubił jej.

Po kilku nic nieznaczących frazesach, zapytała przymrużając oczy.

— Żona pańska nie tańcuje?

— Głowa ją boli.

— O tak, pojmuję, pojmuję,— niespokojna, biedna Nina! Tych kilka słów tak zwykłych, wymówione były tonem, w którym dźwięczał odcień litośnej ironji.

— Nie jest już niespokojną, lecz przelękła się tak, jakby się każda była na jej miejscu przelękła.

Konstanty tknięty tonem pani Hortenzji, tłumaczył żonę nie zdając sobie sprawy dlaczego to robi. Pani Hortenzja chwyciła za nitkę której szukała.

— A tak, tak, nikt też nie może w tem widzieć nic złego, przelękła się, bardzo naturalnie, ale pan wie jacy to ludzie, im mało potrzeba...

Konstanty poczerwieniał.

— Co pani rozumiesz pod tem? zapytał ostro trochę.

— A jaka gorączka! rzuciła z umizgiem, uderzając go wachlarzem lekko po ręku, a potem szepnęła prawie:

— Nikomu przecież nie przychodzi nic na myśl o Ninie, tej kochanej, tej zacnej, tej najlepszej! A on? on młody chłopiec, że mu się tam trochę w głowie zakręciło, to jej przecież nie ubliża, pochlebia to każdej kobiecie, i budzi rodzaj miłej wdzięczności...— trzepała dalej przed przykro uderzonym temi słowani Konstantym.—Tak, wdzięczności, ale któż mówi o czem więcej, ja pierwsza zawsze w obronie jej staję...

Konstanty już nie słuchał dalej, i nie odpowiadał, odszedł ale ziarno podejrzenia już było rzucone, już rola pod zazdrość dobrze przygotowana. Gdy w pół godziny Nina przyszła do męża prosząc by odjechali, gdyż się czuje mocno cierpiącą na głowę, on patrząc jej w twarz przenikliwie, zapytał:

— Tyś niespokojna o Juljusza?

Ona zmięszała się, gdyż w istocie o niego była niespokojna. Konstanty zauważał zmięszanie żony, ściągnął brwi, pod przykrą myślą wiercącą mu w mózgu od rozmowy z panią Hortenzją. Nina uczuła, że zmniejszy winę względem męża, jeżeli będzie o tyle szczerą, o ile spokojność jego pozwoli na to.

— Istotnie niespokojną jestem o pana Juljusza, upadek był gwałtowny, długą chwilę do przytomności przyjść nie mógł.

Konstanty gdy żona mówiła, patrzył jej w oczy badawczo, uścisnął potem rękę, jakby dziękując za szczerość, która mu ulgę przyniosła.

— Pojedziemy, powiedział, i poszedł wydać stosowny rozkaz swoim ludziom.

W kwadrans później wyjeżdżali z bramy oświetlonego dziedzińca. Nina otulona ciepłym szalem, zasunięta w głąb powozu, przymknęła oczy, a z pod powiek spływały ciche łzy, których w ciemności mąż nie widział. Konstanty palił cygaro w zamyśleniu, puszczając przed siebie gęste kłęby dymu. Jechali w milczeniu. Gdy powóz stanął przed gankiem i Konstanty podawał rękę wysiadającej żonie, ona szybko podniosła ją do ust i gorąco ucałowała. Przepraszała go za łzy i smutek, z jakim po raz pierwszy pod dach jego domu powracała. On wziął to za podziękowanie, iż nie naraził jej na dłuższą niespokojność. Zazdrość już kiełkowała. Zmarszczył się, zwolnił rękę z rąk żony, i nie oddał stu pocałunków za jeden. Weszli do sieni, on skierował się wprost do pokoju Juljusza, ona do wspólnego ich sypialnego. O jakże się jej wydały długie chwile do powrotu męża! Chodziła po sypialni, serce jej uderzało gwałtownie, tak iż sprawiało jej rodzaj bolu fizycznego.

(C. d. n.)

Ze świata muzycznego.

Dnia 10go grudnia br. odbył się IV koncert Galicyjskiego Tow. muzycznego. Zaległy jeszcze z roku zeszłego ten dług względem wspierających członków, nagrodzony został programem, jakiego we Lwowie nie pamiętamy. Suite (c-dur), kantata nr. 53, koncert na dwoje skrzypców, kantata nr. 12, autorem zaś tych wszystkich rzeczy jest Jan Sebastian Bach. Z samych poważnych dzieł jednego i tego samego autora, który dla szerszej publiczności nie bardzo jest przystępnym, ułożyć program tak, by dla wszystkich był interesującym i uniknąć pewnej monotonności, nie jest łatwem zadaniem. Udało się to zupełnie artystycznej dyrekcji, i publiczność z zadowoleniem przyjęła tak części instrumentalne jako też wokalne koncertu, którego koroną bez zaprzeczenia był koncert na dwoje skrzypiec, odegrany z całą dokładnością i najgłębszem pojęciem Bachowskiego stylu przez pp. Sch. i Schw.

Nie wdając się w ściślejszy rozbiór rzeczy objętych programem, podnosimy szczęśliwą myśl artystycznej dyrekcji w układaniu koncertów poświęconych wyłącznie jednemu autorowi. Koncerta zbiorowe, urozmaicone drobnostkami i deklamacjami, mogą mieć wprawdzie swój powab choćby nawet i przez same kontrasta miernotek obok ustępów wyższej wartości; mogą być nareszcie i pod względem materjalnym korzystniejsze; wszelako podobny koncert zawsze więcej bawi aniżeli poucza. Że zaś zadaniem Tow. muzycznego jest obznajmianie publiczności z dziełami sztuki, które w literaturze muzyki najpierwsze miejsca zajmują, wpływanie na obudzenie zamiłowania w kierunku klasycznym, zdaniem naszem ten sposób produkcji najstosowniejsze ku temu nastręcza pole.

Towarzystwo muzyczne koncentrując obecnie w sobie wszystkie najlepsze artystyczne siły tutejsze, a dysponując chórem, który tak znacznie się powiększył, po Bachu może pomyśleć o Bethowenie, dalej o innych znakomitościach i dziełach, które u nas mało co, lub też wcale jeszcze nie są znane. W wprowadzeniu w życie nowego regulaminu, którego ścisłe wykonanie wiele Towarzystwo podnieść może, widzimy poniekąd gwarancję przyszłości i lepszego bytu tego jedynego u nas ogniska sztuki.

Z koncertami przejezdnych artystów dotychczas obecny sezon dość skromnym się okazał: pp. Menter i Popper wprawdzie Lwów odwidzili, było to lekkie przypomnienie się tylko dawnej znajomości, które się odbyło bez wielkiego hałasu, i jakkolwiek są to artyści, których zawsze z uwielbieniem się słucha, przecież wątpić należy, czy tegoroczna wizyta tych gości wypadła ku ich zadowoleniu. Zapowiadają nam dzienniki zagraniczne przybycie Henryka Wieniawskiego (skrzypka), takich artystów oby nam nieba sprowadzały jak najczęściej!

W teatrze, gdy już publiczność nawet i z po za Lwowa zjeżdża się, aby usłyszeć „Aidę,“ wznowiono „Fra-Diavolo“ operę komiczną z muzyką Aubera. Francuski rodzaj muzyki, zwłaszcza oper komicznych, zawsze się odznacza lekkością, elegancją i powiedzielibyśmy pewnym dowcipem w instrumentacji; niktby nie przypuścił, że Auber już był blisko 60cio letnim starcem, gdy pisał tę operę, tyle tam humoru i młodzieńczej werwy. Dorobione przez samego autora *recitativa*, które zastępują prozę wyjaśniającą treść rzeczy, nietylko nie psują intrygi dramatu, lecz owszem o wiele ją podnoszą. Śpiewacy po większej części o ile donośnie i wyraźnie deklamują słowa w śpiewie, o tyle często nie zrozumiałymi są w mowie, a jeszcze częściej się zdarza, że na scenie mówić nie umieją. Co do wykonania tej opery u nas, to pominąwszy, że podobny rodzaj muzyki na tłumaczeniu zawsze tylko tracić może, było ono dość dobre, z wyjątkiem partji Anglika, którego nie wiemy dla czego dyrekcja nie powierzyła p. Zboińskiemu. Braki pod względem głosu, których zresztą i p. Wojnowski tak nadzwyczajnie nie zastąpił, p. Z. byłby podniósł grą i stworzył postać prawdziwie komicznego Anglika. P. Marko w partji Zerliny jako śpiewaczka, wokalizowała czysto i jeżeli nas słuch nie myli, to podobno śpiewała w języku włoskim, jako aktorka zaś, drażliwą scenę, w której Zerlina udaje się na spoczynek (akt II) przeprowadziła zręcznie i szczęśliwie. Scena ta jest o tyle niebezpieczną, że trudno w niej pogodzić dwa przeciwne sobie warunki, to jest zaciekawić, a nawet nieco zaniepokoić publiczność nie przestąpiwszy granicy koniecznej przyzwoitości. Panu Zakrzewskiemu zawsze zarzucamy nadużywanie sił w wysokich tonach; mając głos z natury giętki i łatwy, jeżli może imitować na scenie głos kobiety użyciem falsetu, który go tak mało kosztuje, dla czego tam, gdzie *mezza di voce* najpiękniejszy effekt by zrobiło, chce nas przekonać, że ma jeszcze wysokie piersiowe tony i sił mu do nich nie brakuje? Pp. Borkowski i Koncewicz jako bandyci scharakteryzowani znakomicie, szkoda tylko, że p. K. sukcesa swe więcej opiera na galerji, którą trywialność i przesada bawi. Utrzymać się w granicach właściwego roli komizmu może jest trudniej, niż uwydatnić charakter serjo, a widoczne usiłowanie rozśmieszania publiczności często staje się niesmacznem. Panna Wajcówna i p. Mikulski wywiązali się z swych ról dość szczęśliwie.

Zapowiadają nam wkrótce „Straszny Dwór“ Moniuszki; jest to jedno z ostatnich dzieł nie odżałowanego naszego mistrza, u nas jeszcze nie znane, a którego z niecierpliwością oczekujemy.

Walery Wysocki.

BIBLIOGRAFJA.

Niemiecka.

— Die Urkraft des Weltalls nach ihrem Wesen und Wirken auf allen Naturgebieten von F. Spiller. Berlin — 1876.

Dzieło to, niedawno wydane, używa wielkiego rozgłosu. Jest to utwór umysłu wyrobionego, przedewszystkiem na polu filozofji natury, i to na gruncie najważniejszych jej specjalności. Autor podnosi wysoko sztandar eterologizmu. Eter jest dla niego jedynym czynnikiem, to też odrzuca wszystko, co może przypominać duchowość. Nawet siła podług niego jest produktem. Wielkie zagadnienia etyczne i metafizyczne uważa za zużyte graty mistycyzmu i mitologji. Organom wykonawczym jedynie nadaje godność prawodawczą; nawet świat moralny poddaje pod zwierzchnictwo eteru. Spiller nie obwija rzeczy w bawełnę i system swój wyraźnie nazywa eteryzmem. Przyznać musimy, że całość systemu rzeczywiście zdumiewająca, a styl pociągający.

— Dänische Novellen von Carit Etlar. Uebersetzt von Fritz Paulsen. Wien, Pest, Leipzig — Hartlebens Verlag.

Przed niedawnym czasem zachwycaliśmy się powieściami Fryderyki Bremer, Emilji Carlen i innych szwedzkich pisarzy. W najnowszych czasach i dwie inne siostrzyce skandynawskie, Norwegja i Danja, dały szereg powieściopisarzy, idących z tamtymi o palmę pierwszeństwa, także w Szwecji, Björnson, Ibsen i Lie, a w Danji między innymi Etlar, którego nowele przełożone zostały obecnie na język niemiecki. W dwóch tych tomach zawartych jest 8 nowel. Poświęcenie się dla dobra innych, poczucie obowiązku posunięte aż do zaparcia się, cnota a nie wzgląd na własne szczęście, na tych zasadach głównie oparte są te opowiadania, które zasługują, aby i publiczność polska je poznała.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Listy z kraju.

W naszej sprawie.

Lwów w grudniu 1876.

(Dokończenie).

Dziecię każde jest ciekawe, wszystko co je otacza, zwraca jego uwagę, pyta, zastanawia się, trzeba tylko tej ciekawości dogodzić umieć, trzeba mieć odpowiedź gotową, ale rozsądną koniecznie, a możemy dziecko kształcić i uczyć je bardzo wielu rzeczy nie zasadzając go do książki, ale żyjąc z niem wspólnie. Przyroda otaczająca nas, jak wiele nastręcza przedmiotów budzących ciekawość dziecięcia! Ileż to naiwnych pytań zadaje nam ono! Gdy deszcz pada, gdy zajaśnieje tęcza, gdy słońce nas grzeje, księżyc i gwiazdy noce nasze rozweselają, z jakiem zajęciem dziecię, którego myśl się budzić zaczyna, pyta nas o znaczenie tych zjawisk tak codziennych, a tak wielkich, cudownych! Nacóż obałamucać jego umysł fałszywemi odpowiedziami! nacóż, gdy się ono pyta z całą naiwnością i bez obawy, słysząc grzmot w czasie burzy, co znaczy ten hałas, odpowiadać mu: Bozia się gniewa, byłeś niegrzeczny! Ileż fałszu, ileż złego ta odpowiedź zawiera w sobie: najprzód uwłaczamy idei Boga, który ojcem nam jest, budzimy w dziecięciu strach jakiś na myśl o tej najpotężniejszej istocie kierującej jego życiem, mającej nad nim najwyższą władzę, wtedy, gdy miłość tylko budzić powinniśmy. Sam Chrystus i kościół jego z miłości każą nam dobrze czynić, nie z bojaźni, bo cóż wart uczynek wywołany obawą kary? Porównać go można do owego nieszczęśliwego więźnia, który pod knutami kozackiemi obwinia w boleści brata swego, zbyt słaby, aby przecierpieć, tak i tu nie jeden uniknie złego, które na kogoś spadnie dla tego tylko, że się boi jego następstw. Nie jeden powie może, że o przyczynę mniejsza, aby tylko skutek wywołać, ale czy na to każdy się zgodzi? co do mnie, to nie. Chcę, aby każdy czyn człowieka pochodził z głębokiego przekonania, że postępować tak, a nie inaczej powinien, i pomimo przeszkód dążyć do wytkniętego celu, który jak gwiazda jasno ma przeświecać jego życiu. Czy nie lepiej byłoby, nie rozwodząc się nad prawami elektryczności zbyt zawiłemi dla małej dzieciny, powiedzieć mu, że Bóg przez grzmoty oczyszcza powietrze, i w miarę lat i pojęcia objaśnienia te rozszerzać. Słysząc to, a po burzy oddychając świeżem i zdrowem powietrzem, w duszy jego obudzi się raczej miłość dla tego Stwórcy, który mu taką rozkosz sprawił. Czyż z każdej chwili nie można korzystać, aby o ile można wyciskać na dziecięcą duszę piętno jakie szlachetne, dobre, nie dawać mu pojęcia o takich uczuciach ujemnych, jak gniew, zemsta i im podobne. A potem, gdy nauczymy dziecię spoglądać od razu okiem rozsądku na otaczający go świat, jakże wiele ułatwimy mu dalsze studja, jakże ono błogo wspominać będzie wpływ matki, jej pierwsze nauki. Ale na to trzeba więcej wiadomości, niż na pozór zdawać by się mogło. Wiele osób słyszeliśmy mówiących, że dziecko zadowolić można byle jaką odpowiedzią, ale nigdy się nie przyznać wobec niego do niewiadomości, ono i tak zapomni naszą odpowiedź.

O nie, dziecko nie zapomni odpowiedzi danej mu w chwili, gdy umysł jego chciwie jej żądał, ona w nim na zawsze pozostanie, a jeżeli była nierozsądną lub fałszywą, to zawsze w głębi jego duszy odzywać się będzie fałszywym tonem, jak struna źle naciągnięta. A ileż w ten sposób strun się urwie zupełnie! ileż drobnych dziecinnych wydarzeń, zdających się być niczem dla nas starszych, wpływa na urobienie charakteru człowieka i ślady ich do końca życia pozostają! Nie jest to złudzeniem, nie jedno takie zdarzenie moglibyśmy z własnego przytoczyć dzieciństwa, a każdy z nas, jeżeli siebie badać będzie, znajdzie je także. Lepiej, stokroć lepiej, powiedzieć dziecku: nie umiem tego, nie dać mu odpowiedzi, o fałszywości której dowie się z czasem, co wywoła w niem przekonanie o naszej nieumiejętności lub gorzej jeszcze o naszym nierozsądku, i z pewnością nie wpłynie na powiększenie szacunku, jakiego wymagamy. Trzeba więc mieć dużo, bardzo dużo wiadomości, aby temi drobnemi pytaniami, temi zabawami i rozmowami uczyć dziecię na każdym kroku, aby nic z jego uwagi nie zeszło bez śladu i to śladu mającego prawdę na celu. A taką naukę dać może tylko matka, bo wpływ jej jest największy, najwrażliwsze są odpowiedzi i nauki od niej odebrane; trzeba zatem kształcić, i to wysoko, kobiety nie na to, aby je potem ubierać w togi i birety, ale na to, aby wpływ swój wywierać mogły na młode pokolenie, aby dzieci swe kształcić mogły i kierować ich wychowaniem.

Może kto zwróci uwagę, że dzisiejsze ogródki dziecinne, szkółki Freblowskie, taki mają cel właśnie, ale zastanówmy się nad tem, czy tam byłoby podobnem tak na każde dziecię wpłynąć, jak to może zrobić matka, nieodstępna jego towarzyszka. Co by to za chaos powstał, gdyby wolno było każdemu dziecięciu zadawać w każdej chwili pytanie o tem, co go zajęło? Jedno pytałoby o trawkę, drugie ciekawe byłoby historji kamyczka, o które się potknęło, a inne patrząc na wróbelka skaczącego na dachu, pytałoby, na co on ma piórka a nie sierść jak piesek, lub wełnę jak owieczka? jakaż osoba byłaby w stanie wszystkich zadowolić razem? Ogródki są dobre, są potrzebne, ale one nie mogą zastąpić światłej i rozsądnej matki, bo tej nikt nie zastąpi. Najwięcej rozwi-

nięty pedagog nie dokaże więcej, niż matka wykształcona i z charakterem, a pojmująca swoje obowiązki i nie lekceważąca ich; to zaś osiągnąć możemy tylko kształcąc kobiety. Dziś równouprawnienie nasze leżeć powinno tylko w nabywaniu wiedzy, tej tylko żądać powinniśmy, a za nią znajdzie się i co więcej, gdy się potrzeba okaże. Od początku wieków, wielkie zachodziły różnice w położeniu kobiety, na jakimże stanowisku nie była! Widzieć ją możemy jako przedmiot handlu w domu rodzicielskim, jako zabawkę, którą zniszczyć można, gdy się uprzykrzy, jako sługę, niewolnicę, jako towarzyszkę życia, widzimy ją z różnym stopniem oświaty w porównaniu z mężczyzną, ale nigdzie nie spotykamy się z prawodawstwem, które by jej nie ograniczało, nigdzie nie usłyszymy, że ludzie używają praw takich dla wszystkich członków (to jest mężczyzn i kobiet) obowiązujących. Kobieta zawsze była zawisłą od mężczyzny, pod jego władzą, i choć najwięcej może względów znalazła w prawodawstwie matrona rzymska, jednak nie była przypuszczaną do życia publicznego, jak to żądaniem chwili obecnej, bo choć i w starożytności znajdujemy kilka kobiecych postaci, których imiona na kartach historji głębokie wycisnęły piętno, były one tak wyjątkowemi, tak się różniły od otaczającego je świata, że odbijały na nim jak gwiazdy dziwnego blasku na ciemnem tle ogółu. Dziś nie dla tego powinniśmy żądać oświaty, aby dobijać się wraz z mężczyzną o urzędy i zajęcia jemu właściwe, ale dla tego, że ta droga do wszystkiego doprowadzić nas może. Kobieta zawsze zostać powinna żoną i matką, zawsze ten obowiązek społeczny będzie pierwszym ze wszystkich, a zatem celem jej kształcenia powinno być: uczynić kobiety jak najzdolniejszemi do tego obowiązku. Gdy młoda dziewczyna zawczasu przyzwyczajoną będzie do pracy, gdy nauczą ją, jak drogą jest każda chwila, gdy i my wiedzieć będziemy, że czas to pieniądz i nie ociągając się, zaczniemy kształcenie młodego pokolenia wraz z chwilą przyjścia jego na świat, wtedy, jeżeli która nie będzie mogła spełnić tych obowiązków, znajdzie w swojem wykształceniu pomoc w życiu, bo znajdą się wtedy odpowiednie miejsca, i zacznie się cicha i nieznaczna walka o to, co kobiecie przystało, społeczeństwo całe osądzi na jakich stanowiskach pożyteczniejsi są mężczyźni, a na jakich pierwszeństwo należy się kobiecie, i wtedy nie odsuną jej od miejsc dla niej właściwych, bo by tego bez straty uczynić nie mogli. Ameryka dziś daje nam przykład, a choć z bliska nie jedną plamę dostrzedz można na jej urządzeniach, jednakże tam się wyrobił ten stosunek prędzej niż na starym lądzie, bo tam każdy szanuje osobistą wolność, i każda idea wypróbowaną być musi; tym sposobem jedne znajdują oddźwięk w narodzie, są uznane za dobre i rozwijają się, inne jako niepraktyczne, same upaść muszą.

A zatem bierzmy się, bierzmy i to szczerze do nauki, aby jej nam nie odsunięto jako niegodnym i nieudolnym, a czas nam dopomoże w uzyskaniu tego, co dać powinno wykształcenie i praca.

Literatura sztuka i nauka.

— **Pierwszy wieczorek muzykalny Towarzystwa muzycznego odbędzie się dnia 29go b. m. Program wieczorku następujący: 1) Mendelsohn kwartet smyczkowy (es-dur). 2) Mehul. Kwartet wokalny z opery „L'Irato.“ 3) Mikuli. „Andante con variazioni.“ 4) H. Reber. „Legende“ duet. 5) Beethoven. Kwartet fortepianowy. — Od dzisiaj można bilety abonentowe otrzymać w kancelarji Towarzystwa muzycznego.**

— **Ernest Daudet należy dzisiaj we Francji do najpopularniejszych romansopisarzy. Jego romans „Fromont jeune i Risler diné“ uwieńczony przez paryską akademję cieszy się wielkim rozgłosem. Obecnie wystąpił ten autor, z nowym romansem p. t. *Henriette*, który publiczność czyta z większem jeszcze zajęciem jak poprzedni. Pierwszy przekład polski tego utworu pojawi się wkrótce w łamach naszego pisma.**

— **Maurycy Rosenthal, pianista, stypendysta Wydziału krajowego, uczeń konserwatorjum wiedeńskiego, dawał w tych dniach w Wiedniu koncert, który w tamtejszych kołach muzykalnych sprawił kolosalne wrażenie. Obecny na tym koncercie Liszt uścisnął publicznie młodego artystę i pocałował go w czoło nie szczędząc jak najpochlebniejszych wyrażeń. P. Rosenthal uczył się początkowo we Lwowie u p. Mikulego, a później, w Wiedniu u Josefiego. W tych dniach p. R. ma przybyć do Lwowa i da się słyszeć w koncercie.**

— Juljusz Verne, dowiedziawszy się o wybuchłym sporze o jego narodowość, napisał na ręce dr. W. Lubelskiego w Warszawie list, w którym oświadcza, iż jest z Nantes rodem, że pochodzi ze starej francuskiej i bretońskiej a katolickiej rodziny, nie mającej najmniejszego związku z Olszewiczami w Królestwie osiedlonymi. Tak tedy polemika od lat kilku wielokrotnie wszczynana, ostatecznie doczekała się końca.

— Ignacy Campi, znany uczony włoski, umieścił w piśmie „Analogia di scienze“ rozprawę o Koperniku, osnutą na podstawie dzieła profesora Berti. Rozprawa ta rozpoczyna się dość charakterystycznie od słów: Polacco e non Alemano...

— Portret malowany przez Matejkę, a sprzedany na licytacji w Zagorzanach, nabył p. F. z Gorlic, właściciel kopalń, za cenę 700 zlr. Wprawdzie kosztowały tyle ramy przepysznej snycerskiej roboty, do których Matejko dał rysunek, lecz ze względu na dzisiejsze trudne czasy i na przedmiot obrazu, oraz na okoliczności w jakich był sprzedany, cena nie była jeszcze najgorsza.

— Muzycy rzymscy wyprawili uroczystość na cześć Ryszarda Wagnera, w której przyjmował udział i ambasador niemiecki. Akademja di Santa Cecilia istniejąca w wiecznem mieście, udzieliła z tego powodu mistrzowi muzyki przyszłości wysoką godność „Socia Illustre“.

— *Kurjer Lubelski* zapowiada wydawnictwo drogą prenumeraty dzieła historycznego pt. „Monografja Lublina“ przez Władysława K. Zielińskiego, znanego historyka Lublina. W pierwszym tomie, mają się pomieścić dzieje miasta, w którym nieraz tak ważne odgrywały się fakta, aż po r. 1876. Tu także znajdą miejsce spisy chronologiczne ludzi, którzy na rozwój miast jakikolwiek wpływ wywarli. W drugim zaś tomie będzie szczegółowy opis miasta. Nakoniec „Dyplomatarysz Lublina“ ma kończyć tę mozolną pracę. Szczęśliwy Lublin, że będzie miał i znał przecie własne dzieje — kiedyż to inne miasta nasze doczekają się tego?

— Rada miasta Genuy poleciła rzeźbiarzowi Giulio Monteverde zrobić model kolosalnego posągu księcia Galjeny. Posąg ten wielkiego dobroczyńcy wystawiony zostanie w Genui kosztem miasta.

— Nowy gmach wiedeńskiej Akademji sztuk pięknych zostanie definitywnie otworzony 15 marca 1877 r. Równocześnie otworzoną zostanie wystawa, która będzie obejmować dzieła dawnych wiedeńskich mistrzów i artystów żyjących obecnie w Wiedniu. Bardzo wielu najznakomitszych artystów przyrzekło współudział w wystawie.

— **Z gorączkową niecierpliwością oczekuje świat uczony pojawienia się nowego dzieła K. Darwina, „O skutkach krzyżowania i samozapładniania u roślin“ Nie będzie zapewne rzeczą zbyteczną zawiadomić czytelników, czem się w tem nowem dziele genjalny naturalista zajmuje. Nie rozstrzygniętem jest jeszcze pytanie, czy połączenie płciowe dwóch pokrewnych indywiduów jest bezwzględnie szkodliwe, lub też czy krzyżowanie (t. j. połączenie dwóch indywiduów nie złączonych ze sobą pokrewieństwem) jest zawsze korzystne. Jeden z uczonych H. Huth, stosując te pytania specjalnie do ludzi, dowiódł, że szkodliwy wpływ na potomstwo, małżeństwa zawartego między krewnymi chociaż istnieje między zwierzętami. między ludźmi jest niemożliwy z powodu powolnego rozplemiania. Utrzymuje dalej, że twierdzeniu, jakoby potomstwo z takiego małżeństwa przychodziło na świat z zarodem chorób, brakuje wszelkich dowodów, ponieważ słabość i chorowitość pojawia się równie często wśród dzieci pochodzących z małżeństw nie zawartych między krewnymi. Jerzy Darwin, najstarszy syn słynnego naturalisty, profesor przy Trinity College w Cambridge, zajmował się także tem pytaniem i na podstawie badań statystycznych doszedł do wniosku, że nie posiadamy środków, aby udowodnić szkodliwości połączeń między pokrewnemi indywiduami. Karol Darwin jest innego pod tym względem zdania. W nowem swojem dziele przeprowadza eksperymentalny dowód, że rośliny które zapładniają się pyłkiem pochodzącym z własnych kwiatów, tracą na wielkości i sile. Darwin przez 11 lat prowadził swoje doświadczenia, które rozciągnął na kilka generacyj. Materjał nagromadzony w rozdziałach od II – VI ma zadziwiać swoim ogromem. Na podstawie tych doświadczeń Darwin przychodzi do przekonania, że skutki samozapładniania są szkodliwe i w potomstwie tembardziej widoczne, im więcej generacyj wykluczonych jest od krzyżowania. Z drugiej strony przychodzi do ważnego wniosku, że sam fakt krzyżowania nie działa jeszcze pożytecznie, i jeżeli krzyżowanie ma być w skutkach skutecznem, potrzeba uważać. aby przeznaczone do tego indywidua pod względem konstytucji jak najwięcej różniły się od siebie. Dodatkowo przy tych wnioskach wyjaśnia Darwin w ostatnich rozdziałach swego dzieła rozmaite kwestje fizjologiczne. I tak np. stara się wytłumaczyć fakt, że pewne zmiany w warunkach życia są dla istot organicznych korzystne, i przy tej sposobności czyni niektóre uwagi o przypuszczalnych przyczynach życia. Tego obszernego dzieła jest już 30 arkuszy wydrukowanych, a w kilku tygodniach angielski oryginał pojawi się w księgarniach. Główny skład powierzył autor słynnemu księgarzowi Johnowi Murray w Londynie.**

Podróże i odkrycia.

— **Listy z Australji donoszą o śmierci dra. James'a i pewnego szwedzkiego przyrodnika, który towarzyszył mu w badaniach przedsiębranych w Nowej Gwinei. Obydwaj uczeni wraz z załogą swojego okrętu, zaproszeni przez krajowców na polowanie na rajskie ptaki, na wyspę Yule, zostali przez dzikie plemię napadnięci i w okrutny sposób zamordowani.**

— Na ostatniem miesięcznem posiedzeniu Towarzystwa geograficznego w Berlinie dr. Nachtigall udzielił zgromadzonym nowych wiadomości z Afryki. Dr. Pogge pisze, że na Zachodzie znaleziono lepsze oparcie do wycieczek w głąb Afryki, i należy się spodziewać, że wkrótce towarzystwo afrykańskie przedsięweźmie większe wyprawy. Edward Mohr, który przybył do Angola, podziela także nadzieje Pogge'a. Obaj wspólnie z Mogambe zapuszczali się w głąb kraju.

— Obok nowego portu w Konstancji odkryto budowle nawodne; sięgają one, jak się przekonano, aż do zamku. Niedawno znaleziono szczątki młota kamiennego, ozdobionego równoległemi linjami.

— Do brytyjskiego muzeum w Londynie przybyły starożytności babilońskie, zebrane przez nieboszczyka Jerzego Smitha w Bagdadzie. Wszystkich przedmiotów jest około 2.000; znajduje się między niemi słynny lew z imieniem egipskiego króla Set na piersiach, kilka rzeźb i wielka ilość tablic glinianych z napisami klinowemi. Podług przypuszczeń, są to sprawozdania jakiejś firmy handlowej, która istniała od czasu Neriglissara do Darjusza. Niektóre odnoszą się do czasów panowania Belsazara. Imię to, jako króla, po raz pierwszy w piśmie klinowem przychodzi.

Wystawa paryska.

— Roboty na placu wystawy powszechnej w Paryżu postępują raźnie, a zwłaszcza w ostatnich dniach energicznie zabrano się do planowania obszaru i kopania fundamentów, które do 1 kwietnia roku przyszłego mają być ukończone. Wkrótce, jak zapewnia „Polit. Cor.“, 2.000 robotników pracować będzie nocą przy oświetleniu elektrycznem. Stanowczość w prowadzeniu tych robót, jest odpowiedzią rządu francuskiego na pogłoski jakoby o zamierzonem odroczeniu wystawy.

Katedra kolońska.

— Roboty około obu głównych wież katedry kolońskiej, których budowę prowadzi radca rządowy Voigtel, postępują bardzo raźnie. Jeżeli nie nastąpią jakie nieprzewidziane przeszkody, ukończone zostaną w r. 1880. Restauracja katedry w Frankfurcie postępuje także bardzo szybko.

ROZMAITOŚCI.

— **Gdy podczas trzydziestoletniej wojny król szwedzki i austrjacki dowódca Tilly walczyli z sobą, to podczas każdej bitwy ludzie radzi byli naprzód wiedzieć o rezultacie, kto zwycięży. Ażeby sobie w tem pomódz, wpadli zmyślni mieszkańcy bawarskiego miasta Cham, try-**

mający partję austrjacką, na wcale oryginalną ideę. Zebrali małych chłopców z całego miasta, podzielili ich na dwie gromady, i postawili naprzeciw sobie w wojennem pogotowiu. Z jednej strony były dzieci znakomitszych obywateli miasta, czysto umyte, wystrojone i zaopatrzone dobrą bronią: to byli Austrjacy, między nimi Tilly, wyróżniający się z pośród reszty ciemnym płaszczem i czerwonem spodniem ubraniem. Po drugiej stronie stały dzieci biedniejszej ludności, te dostały gorszą broń lub żadną i reprezentowały wroga—Szwedów—między nimi jeden z malców ubrany w niebieską kitlę, naśladował Gustawa Adolfa. Austrjacy zostali przed bitwą dobrze nakarmieni i napojeni; Szwedom wolno było pić wodę do syta. Następnie obydwa zastępy ruszyły przeciw sobie wśród odgłosów muzyki i głośnego hurra. Austrjacy uderzyli na nieprzyjaciela dziarsko, rąbiąc drewnianemi pałaszami i strzelając z małych fuzyjek ślepemi nabojami. Atoli Szwedzi, zgorszeni i rozsrożeni niezmiernie, że choć dzieci jednego miasta, byli tak wobec tamtych niesłusznie upośledzeni, walczyli z wściekłością i zapamiętałością niesłychaną; porzuciwszy laseczki drewniane, poszli w zapasy na gołe pięści, nie jeden paniczyk oberwał przytem dobrego guza, nie jeden tarzał się, rzucony o ziemię, w piasku, aż w końcu Szwedzi wśród szalonego hałasu zdobyli chorągiew i oczywiście wygrali bitwę. Taki jednak rezultat nie był po myśli sławetnego obywatelstwa Chamskiego. „To nic nie znaczy! — zawołali — jeszcze raz rozpocząć walkę, Austrjacy muszą zwyciężyć!“ W tym celu dzieci zamożniejszych rodziców zostały znowu przysmaczkami pokrzepione, a biedni Szwedzi znowu wypili dowoli wody, poczem rozpoczęli świeże harce. Austrjacy uderzyli ze zdwojonem męstwem na przeciwnika, który jednak rażącą już niesprawiedliwością bardziej jeszcze rozsrożony, wytrzymał atak, a zwróciwszy się na „wroga,“ złamał go i zmusił do haniebnej ucieczki. Powtórny ten rezultat był dla obywateli złą wróżbą; gdyż urządzili byli tę zabawę, by tym sposobem dowiedzieć się w przybliżeniu, która strona zwycięży, gdy w najbliższym razie dwie wielkie armje uderzą na siebie. I rzeczywiście w najbliższej walce Szwedzi odnieśli nad Austrjakami świetne zwycięstwo. Wojną się skończyła, od tych czasów minęło już sporo lat, a biedna ludność Chamu po dziś dzień nie zapomniała jeszcze, jak została wówczas przez bogatych dotkliwie upokorzoną, i dziś jeszcze są dumni z obrotu walki owych dzieciaków, nie z powodu, jakoby przychylni byli sprawie Szwedów, ale że ówczesna młódź biedna uratowała honor swojego stanu.

— W jednem z pism zagranicznych znajdujemy pod tytułem: „Dzieci we Francji i Anglji“ ciekawe i nader charakterystyczne szczegóły, mimo że mają pozór i formę anegdot. Posłuchajcie: Francuz powiada zwykle, że lubi dzieci wówczas, gdy płaczą. Zapytany, dla czego, odpowiada: „Bo je wynoszą.“ Dwaj chłopcy spotykają się w Tuilerjach. „Dlaczego jesteś czarno ubrany?“ — pyta jeden drugiego. — „Oh! mój ojciec biedny umarł.“ — „Czyś bardzo kochał twojego ojca?“ „O! bardzo!“ „Jesteś teraz smutny po jego stracie?“ — „Wcale nie.“ — „A to dla czego?“ — „Powiedziano mi, że w niebie zobaczę znowu mojego ojca.“ — „A ba! — odpowiada mu towarzysz, przyszły adept Woltera, z tajemniczą miną.— Nie poznasz go przecie!“ — „Przeciwnie. Gdy przyjdę do nieba, będę szukał anioła z czerwonym nosem, a to będzie mój ojciec!“ — Dwie młode panienki zatrzymały się przed posągiem Jowisza. Jedna z nich zapytała: „Czy to mężczyzna, czy kobieta?“ „Jakże mogę wiedzieć kiedy ten posąg nie ma ubrania.“ W Anglji przypada na 51 wypadków zabójstwa, 50 dzieciobójstw. Przyczyną tego, jak słusznie dowiódł członek parlamentu Charley, jest za surowa kara, naznaczona w prawie za dzieciobójstwo. Zbrodnię tę kodeks angielski karze śmiercią. Z tej przyczyny sąd przysięgłych, obawiając się często wydać werdykt potępiejący obwinioną, uwalnia ją zupełnie, a naturalnem następstwem takiego stanu rzeczy jest przerażające szerzenie się zbrodni dzieciobójstwa wśród biednych warstw ludności angielskiej. Każda rodzina angielska, bogata czy biedna, cieszy się hojnem błogosławieństwem bożem pod względem potomstwa. Królowa Wiktorja, matka dziewięciorga dzieci, jest dobrym w tej mierze przykładem. Ujrzeć dziesięcioro, dwanaścioro a nawet piętnaścioro dzieci w jednej rodzinie angielskiej, jest zupełnie zwykłą rzeczą. Z reguły, biskupi i wyrobnicy cieszą się najliczniejszą konsolacją. Mimo wielkiej śmiertelności, większość zostaje przy życiu. Niedostatek i nędza hartują zawczasu dzieci biednych rodziców i przysposabiają je doskonale do twardej walki o byt. Dzieci w Anglji objawiają często odwagę umysłu, właściwą tylko męskiemu wiekowi. Niejednokrotnie widzieć można malca, którego rówieśnik u nas uciekł by z płaczem na widok niewinnej jaszczurki, jak łowi małe węże, jeże i inne zwierzątka, i z tryumfem przynosi je pokazać matce. A ileż to razy zdarzy się, że dwóch chłopaków ośm do dziesięcioletnich, odwiąże czółno od brzegu i puszcza się na morze „na spacer.“ Inny znowu, rozpędzając się na swoim „ponny“ (rodzaj konia kuca), by przeskoczyć szeroki potok, na uwagę służącego, że może upaść z koniem w wodę, odpowiada zuchwale: „Wszak wiesz dobrze, że ja i mój ponny umiemy pływać doskonale.“ Ten to sam był zapewne, który uspokajał trzy kobiety ztrwożone nadchodzącą gromadą bydła, radząc im, by się schowały za niego. Malec pięcioletni przemawia w ten sposób do swego wujaszka, który spóźnioną porą nocną obawiał się sam iść do domu: „Jeżeli się boisz wuju John'ie, to ja cię odprowadzę do domu...“ Gdy wuj przyszedł do pensjonatu odwidzić swego faworyta i zapytał go o postępy, otrzymał taką odpowiedź: „O, znakomite zrobiłem już postępy! Potrafię wyboksować odrazu trzech moich kolegów, a brat mój jeszcze lepiej, bo uczyni to z sześcioma, nawet ze mną!“ — „Malcze, musisz być mężczyzną!“ — powiada ojciec Anglik do malutkiego syna. — „Wiem ojcze — odpowiada chłopię — potrzeba mieć wolę, siłę, odwagę i charakter.“

— Córka jednego z kupców berlińskich, zaręczona od niejakiego czasu z pewnym młodym człowiekiem, przyszła ostatniego minionego kwartału do świeżo przez nią najętego mieszkania aby zapytać, o którym czasie nazajutrz będzie mogła sprowadzić tu swoje meble. Atoli ku największemu swemu zdziwieniu dowiedziała się, że zajmujący to mieszkanie czynszownicy, wcale nie pomyśleli dotychczas o ustąpieniu miejsca nowym lokatorom. Jako przyczynę tego podała córka lokatorki wdowy słabość matki, która złożona tyfusem nie mogła żadną miarą opuścić łóżka. — „Nic mnie to nie obchodzi — odparła narzeczona — za ośm dni odbędzie się moje wesele, meble dla mnie już kupione, zatem do jutra do 12tej godziny mieszkanie musi być wolne.“ To rzekłszy z gniewem chciała się oddalić, gdy nagle stanął przed nią narzeczony, który idąc za nią niepostrzeżony, słyszał z bliska rozmowę prowadzoną w drzwiach mieszkania. „Wesele nie odbędzie się ani za ośm dni, ani kiedykolwiek później — przemówił stanowczo młody człowiek — i dziękuję Bogu, że w sam czas jeszcze miałem sposobność przekonać się o kamiennem sercu i usposobieniu pani, bo jestem pewny, że równie nieczułą byłabyś dla swojego męża. Co dotyczy zaś mieszkania, to mnie a nie pani przysłuża prawo rozporządzania niem do woli.“ Narzeczeni rozeszli się na zawsze, a młody człowiek odwidza często ozdrowiałą już wdowę i jej córkę, i jak opowiadają sobie na ucho sąsiedzi, wnet mają nastąpić zaręczyny młodych.

— U króla angielskiego Jakóba I, był razu pewnego na audjencji poseł francuski, który wprawdzie odznaczał się wzrostem i piękną powierzchownością, nie należał jednak wcale do ludzi celujących umysłem i wiedzą. Brak ten usiłował on pokryć w ten sposób, że wyuczoną przemowę prawił bardzo płynnie, przyczem robił poruszenia i gesta niezwykłe, obudzające zdziwienie niezmierne u obecnych. Po audjencji zapytał król lorda kanclerza Bacona, co on myśli o pośle francuskim. „Zdaje się on mi pięknym, słusznym i dobrze zbudowanym mężczyzną“ — brzmiała odpowiedź. „Ale jabym rad wiedzieć, co pan myślisz o jego głowie — odparł król — czy znajdujesz, że jego wykształcenie odpowiada urzędowi przezeń piastowanemu?“ —„Królu — rzekł na to Bacon— mojem zdaniem ludzie słusznego wzrostu podobni często do cztero lub pięciopiątrowych domów, a w nich jak wiadomo najwyższe piętro zwykle najgorzej bywa umeblowane.“

— Zamek Chatsworth nad rzeką Derwentem w hrabstwie Derby, przepyszna siedziba księcia Devonshire, gdzie niegdyś Marja Stuart siedziała uwięziona, sławnym jest szczególniej z pięknego parku, a w nowszym czasie jeszcze więcej z kolosalnych rozmiarów cieplarni, którą ostatni książę, zapalony lubownik kwiatów, kazał wybudować podług planu genialnego dyrektora ogrodów, Paxtona, tego samego, który w 1851 wykonał plan kryształowego pałacu, dla wystawy światowej. Cieplarnia ma długości 300 stóp, 150 szerokości, nakryta kopułą szklanną, która na misternych słupach spoczywa. Wysokość cieplarni wynosi 67 a prężenie łuku 70 stóp. Obwód u góry stanowi galerja, do której prowadzą kręcone schody, zakryte sztuczną grupą skał. Ogrzewanie odbywa się za pomocą ciepłej wody, bieżącej przez żelazne rury, których ogólna długość wynosi sześć mil angielskich. Cienista droga do jazdy wije się obok wielu ścieżek dla pieszych, pośród przecudnych grup drzew, krzewów i kwiatów, po której szczęśliwy właściciel jeździ w pojaździku ciągnionym pięknemi kucami. Najkosztowniejsze, najrzadsze i najpiękniejsze rośliny tropikowe mieszczą się tam w obfitości, i pomimo najsilniejszej angielskiej zimy, roślinność południowa odurza przyjemną wonią zwidzających... Małpy wszelkich gatunków skaczą z gałęzi na gałąź, papugi, kolibry i rajskie ptaki kołyszą się na drzewach rodzinnych, lub też okrążają wierzchołki wysmukłych palm. Pojąć łatwo, że utrzymanie takiej cieplarni pochłania olbrzymie sumy rok rocznie. Przyznać jednakowoż należy, że to lubownictwo ogrodnicze jest daleko rozsądniejsze, aniżeli fikcja jednego z jego przodków, zapalonego myśliwca, który dla licznych psów gończych kazał wybudować pyszną psiarnię, która przeszło 20.000 fun. szter. kosztowała, czyli 200.000 fl. a. w.

— Europejscy amatorowie długich paznogci u rąk, mają pilnych naśladowców wśród niektórych ludów wschodniej Azji, szczególnie zaś w Siamie, Anamie i innych częściach Chin, gdzie długie paznogcie są nawet oznaką zewnętrzną szlachectwa. Trzy do czterech centymetrów długie nie należą w Chinach do rzadkości, co więcej, szlachcianki tamtejsze noszą futerały metalowe na końcach palców, by ochronić się tem przeciw łamaniu się tych ozdób naturalnych, jak o tem niedawno wspominał E. T. Hamy na posiedzeniu paryskiego antropologicznego towarzystwa. Kobiety chińskie przewyższają w tym względzie swoje koleżanki w Anam, Siamie i Kochinchinie, gdzie szczególnie mężczyźni, powodowani próżnością dziecinną, dają wyrastać paznogciom na istne szpony. Hamy pokazywał fotografie rąk dwu anamskich szlachciców, z których jeden miał paznogcie 10 — 12 centymentrów długie. Ku końcowi były zakrzywione i wyglądały zupełnie jak szpony krogulcze. Paznogć wielkiego palca był spiralnie zakręcony, i tylko na palcu wskazującym nie było tej ozdoby, dzięki też czemu ręka mogła chwytać małe przedmioty. Na drugiej ręce widać było bardziej potworne, bo wynoszące długość 40 — 45 centymetrów. Paznogcie te na średnim i małym palcu były wężowato zakręcone, a na wielkim równie spiralnie. Oczywiście, że podobne dziwolągi należą i tam do rzadkości. Pomiędzy 20 Siamczykami, których poznał Leon de Rosny, tylko jeden miał na małym palcu równie olbrzymią ozdobę; także u posłów anamskich, którzy chwilowo bawili swojego czasu w stolicach europejskich, zauważano dość długie paznogcie tylko na małych palcach. W Indjach długie paznogcie są cechą znakomitego pochodzenia, gdyż okazują, że właściciel ich nie potrzebuje pracować rękami.

Od Redakcji.

Z powodu, że w przyszłym tygodniu przypadają święta, następny numer „Tygodnia“ wyjdzie, jak według zwyczaju nie 31 bm. ale w niedzielę 7 Stycznia r. 1877.

Treść Nr. 17.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).